ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY TYGODNIK LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPOŁECZNY

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. KRÓLEWSKA 27
TEL. 152-05.

No 38
WARSZAWA
DNIA 21 WRZEŚNIA 1913 R.

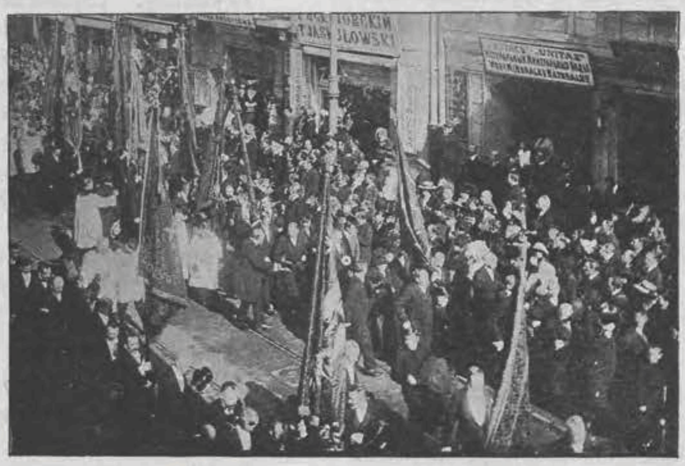
Ingres J. E. Arcybiskupa na stolicę Warszawską.



J. E. Arcybiskup-metropolita warszawski, Aleksander Kakowski.



I. E. Arcybiskup-metropolita warszawski, w drodze do katedry



Cechy, Pełniące straż przyboczną.

„Nie przez okno wchodzę do tej cząstki owczarni Chrystusowej, ale przez drzwi, nie z woli swojej, ale z woli Bożej. Przychodzę do kraju swojego, do ziemi swojej, do ludu swego i Kościoła swojego. Kocham ten kraj i tę ziemię, na której wzrastałem, wychowałem się i kształciłem, miłuję ten naród, z którego pochodzę, którego kość z kości, krew z krwi i ciało z ciała jestem; czuję jak on czuje, myślę, jak on myśli, mówię, jak on mówi, cierpię, gdy on cierpi, a raduję się, gdy on się raduje". Z mowy Arcybiskupa, wygłoszonej w katedrze.



Amerykański minister Bryan, z braku pieniędzy wstąpił do cyrku, by wygłosić tam serję odczytów. Mister Bryan nie porzuca bynajmniej swego zawodu polityka. Jest tylko na swój sposób, po amerykańsku, szczery.

Harry Walden opuścił scenę niemiecką i występował w kabaretach, dopóki nie zaangażowano go na miejsce zmarłego Kainza do Burgteatru.

Korff zrzeka się tytułu aktora najsłynniejszego teatru po to, by podpisać kontrakt z dyrekcją wiedeńskiego Variété: „Apollo"...

Jakiś przewrót w pojęciach znamionują te zjawiska, niewątpliwie. Jakieś przeszacowanie wartości.

Wkrótce nie zdziwi nikogo duet tenora opery z tresowanym osłem, kaznodzieja na trapezie, lub profesor prawa państwowego wykładający z trampoliny...

Niejaki pan Władysław Wankie, znany nam już ze swej napaści, przed paru laty na Edwarda Maneta, mistrza impresjonistów francuskich — w jednym z tygodników warszawskich skarży się na „zamęt w malarstwie współczesnem".

Pominąwszy pogardliwem milczeniem cały stek bredni w rodzaju takich twierdzeń np., że Cézanne nietylko był „absolutnie pozbawiony zmysłu formy" lecz był zaciętym jej wrogiem oraz, że był on „opozycjonistą z zasady, nudnym ale bezgranicznie upartym", że „musiał znaleźć sobie jakąś furtkę, aby bądź co bądź żyć i egzystować no—i uchodzić za apostoła"— pominąwszy wszystkie te ignoranckie twierdzenia — przytoczę na tem miejscu inny ustęp z tegoż artykułu:

„Wreszcie w ostatnich stuleciach twórczość, artystyczną objęły: „Koszary sztuki", zwane akademjami, instytucje, masowo produkujące wyznawców oficjalnego piękna. Akademików raz na zawsze wyuczono pewnych reguł i grymasów, a stwarzając styl niesłychanej nudy i banalności, płytkości i pozorów, wyhodowano dziwoląga: *artystę-biurokratę*.

Ów *homo novus* pełen ogromnego o sobie wyobrażenia *(sic!)*, kaleka wsparty na szczudłach państwowej protekcji, rozrósł się i rozplenił niby piach nadmorski a mnogością produkcji nietylko zaśmiecił świat cały, ale go i oszpecił gruntownie.

Mierność wyposażona władzą staje się zawyczaj bezczelną *(sic!)*. synekurzyści akademiccy gromadząc godności państwowe z czasem stworzyli kastę, zorganizowali się w bractwa w sprawach *de artibus* ferujące sądy i wyroki bez apelacji".

Czyż nie skreślił tu p. Wankie z całą naiwnością wcale plastycznej podobizny własnej i swych protektorów?

O jakież święte słowa prawdy: *Mierność wyposażona władzą staje się zazwyczaj bezczelną!*

Ustami ubogich duchem przemawia czasem Bóg.

(gl.)

NIEZNANE WARJANTY: „BURZY".

I.

Trynkulo. (Spostrzegając Kalibana) A to co za stworzenie? Człowiek, czy ryba? Umarły czy żywy? To ryba; zapach ma ryby, starej, zepsutej ryby, gatunek sztokfisza nie najpierwszej świeżości. Taki z powodzeniem może pisywać na tej wyspie krytyki teatralne... Oko ma rybie i szczękę dolną wysuniętą, ale kark bawoli... Osobliwsza ryba. Ma nogi, jak człowiek, choć nieco utyka. Ciepły na uczciwość! Odstępuję od pierwszej myśli; to nie ryba, ale dziennikarz, urżnięty w kij po premjerze: „Burzy".

Kaliban. Nie dręcz mnie — och! Jestem znużony śmiertelnie.

Trynkulo. Ba! toćto jest śmieszna potwora, stary znajomek Kaliban. Cóż tu porabiasz, przyjacielu?

Kaliban. Oh nie dręcz mnie... Pan mój dawny już wyniósł się z wyspy. Odziedziczyłem po nim te książki przeklęte... Oh, jak mi nie dobrze — te encyklopedje, z których czerpię swoje krytyki. Teraz ja stałem się tu magiem i wywołuję burze teatralne, kiedy mi się spodoba.

Trynkulo. A cóż się stało z córką Prospera, Mirandą? Piękna to była dziewka...



Artysta dramatyczny Teatru Polskiego, Stefan Jaracz, w roli dzikiego i potwornego niewolnika Kalibana. W znakomitej interpretacji roli, Jaracz pokonał jej trudności, polegające na tem, iż Kaliban jest postacią niesamowitą, fantastyczną, niejako wcieleniem nizkich i brutalnych sił natury, a jednocześnie musi mieć podkład charakterystyczny.

Jaracz wywiązał się z zadania z talentem wysokiej miary. Jedyny zarzut możnaby postawić wspaniałej grze artysty, że Kaliban Jaracza chwilami jest potworem zbyt sympatycznym, nie budzi w widzu uczuć zgrozy, odrazy i wstrętu, na które wyraźnie spekuluje Shakespeare.

Kaliban. Wyszła zamąż. Ale w dziewicach nie odczuwam niedostatku. Podbiłem wiele innych... Strasznie jestem znużony...

Trynkulo. I nie masz teraz pana?

Kaliban. Ojoj! Nawet wielu panów, pięknych, bogatych. Dobrze mi płacą.

Trynkulo Przecie tak jeszcze niedawno wychwalałeś wolność...

Kaliban. Daj mi spokój. Czy ja wierzę w co? Czy ja poważnie traktuję samego siebie? Kłamię, kłamię, kłamię...

II.

(Inna część wyspy. Ulica Szpitalna).

Gonzalo. Sebastjanie, prawdom, które mówisz brak łagodności i stosownej pory. Rozjątrzasz ranę, której trzeba raczej plastrów łagodnych. Męczysz umęczonych.

Sebastyan. O cześć Wam panowie magnaci. Splamiliście swój honor na zamku króla tunetańskiego.

Gonzalo. Nie bronię tych rycerzy, lubo zdaje mi się, że suknie ich tak są świeże teraz, jak były wtedy, gdy je wzieli na zamek.

Antonio. Vivat Gonzalo, nasz pacyfista!

Gonzalo. Niech żyje praca i miłość, sprawiedliwość... Wygnałbym zdradę, kłamstwo, przeniewierstwo. Miecz, dzidy, noże, wojenne rynsztunki... Pisałbym same książki pobożne. I uczył naród życia cnotliwego.

Sebastjan. No, a król Tunetański, który wziął sobie za hasło: Carthaginem delendam esse —

Gonzalo. Ja sobie, on sobie...

Sebastjan. Poczciwy!

Poseł do Rady Państwa A. Chomiński wypowiedział się za tem, by polacy w Izbie wyższej wyszli ze składu grupy centrum — i...? Utworzyli samodzielne koło? Czy wstąpili do prawicy? Ten ostatni pogląd ma wśród niektórych agrarjuszów zdecydowanych zwolenników. I to byłoby może najkonsekwentniejsze. Zresztą czyż nie wszystko jedno, w którym fotelu się siedzi?! Posłowie do Rady Państwa, jak wiadomo korzystają nie z ław, lecz foteli.

Urzędowa inauguracja gub. Chełmskiej odbyła się w dn. 14 września, z zachowaniem ustanowionych ceremonji. Ustawiona była przy rogatce brama tryumfalna z napisem: „Bardzo prosimy — Gubernjalne miasto Chełm“. W przemówieniach zaznaczano, jak donosi „Lu-



Artysta dramatyczny Teatru Polskiego Zieliński, wyróżniający się zaszczytnie wybitnem poczuciem stylu. Szereg świetnych kreacji w całym szeregu sztuk klasycznego repertuaru i ostatnio rola Gonzala w „Burzy“ stanowią poważny dorobek artystyczny p. Zielińskiego.

belski Kurjer Codzienny", „że nadszedł dzień wyzwolenia z polskiego ucisku". Tak pożera własną wątrobę Słowiańszczyzna.

A na tronie Hohenzollernów stroszy wąsa Will-chelm II.



Powszechną sensację budzi wystawiona w londyńskim teatrze Saint-James sztuka Bernarda Shava p. t. „Androklus i lew". Prawdopodobnie świetnemu ironiście angielskiemu zakłóca sen powodzenie Rostanda, który zrobił swoim bohaterem gallijskiego koguta, przeto wybrał sobie brytańskiego lwa. Sztuka Shav'a jest zręczną inscenizacją znanej legendy o wdzięczności lwa, wyleczonego przez chrześcijańskiego męczennika, Androklusa. Fotografja nasza wyobraża scenę, w której lew (p. Edward Sillward) poznaje w swojej ofierze (O. Heggie) starego znajomego.

Złośliwi twierdzą, że na scenie Warszawskiej rolę lwa zatrzyma sobie dyr. Solski, który niezmiernie lubi role tytułowe... Chybiona strzała! Rola ta należy się dyr. Solskiemu! Życzymy mu przytem, by nie został pożarty przez Androklusa..

Jak mało ludzi wie o tem, iż istnieje nad niemi zapobiegliwa, stała opieka, że każdy ich krok śledzony jest z największą, rodzicielską prawie troskliwością. Ludzie jęczą i rozpaczają, przeklinają życie w tragicznem przeświadczeniu, że w istocie pozostawieni są sami sobie, jak bezdomne dzieci, jak sieroty.

I po co? Czyż nie czuwa na nimi ziemska opatrzność?

Oto, jak się rzecz miała: Lotnik Nestorow, postąpił sobie nieopatrznie postąpił wprost lekkomyślnie. Leciał na pewną śmierć i tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności wyszedł z całej sprawy cało, i pobił rekord wysokości. Myślicie, że to już wszystko? — Bynajmniej!

Jak piorun z jasnego nieba spadł niezwykły, wzruszający wyrok:

Lotnik Nestorow, za ryzykowanie życia został skazany przez władze policyjne na miesięczny areszt!

Wy, którzy jesteście ubodzy i wycieńczacie swe siły, przez skąpe odżywianie się! Nieszczęśnicy, smutkiem zatruwający swe życie! Upamiętajcie się!

Bo, któż wam zaręczy, że nie usłyszycie, groźnych słów:

—. Jakiem prawem narażaliście swe istnienie? Jak mogliście lekkomyślnie morzyć się głodem, marnować dni młodości, nie pytając się nikogo o pozwolenie.

I, kto wie? Może nas nawet za to zamkną na miesiąc w areszcie? Jak lotnika Nestorowa. Za narażanie życia.

O, matczyne ręce władzy! (*a*)

Życie p. Gustawa Olechowskiego wypełnia się w okresie przesilenia, jakie zachodzi w polskim romansie erotycznym. Problematy wolnej miłości, pohańbienia duszy kobiecej, przestały już być palące i rewolucyjne. Niema takiej książki z lat ostatnich, w którejby opisy ultra-erotyczne w związku z psychiką kobiecą nie dochodziły już do tej granicy, za którą rozściela się kraina pornografji. Problematy te zdążyły zyskać prawo obywatelstwa; co więcej przemieniły się w martwą formułę. I oto pan Olechowski w tej trudnej chwili wpadł na świetny pomysł: „Dotychczas obnażano wstydliwą część duszy kobiecej. Dlaczegóżbym nie miał uczynić tego z duszą mężczyzny" — powiedział sobie p. Olechowski. „Interes" wróżył wielkie powodzenie.

Znacie „powieści" p. Olechowskiego? O tak! Zapewne niejednokrotnie czytaliście „Dzieje mężczyzny", lub powieść o „Uświadomionym". To takie pikantne. Bohater uwodzi w pierwszym rozdziale, i uwodzi we wszystkich następnych, uwodzi na każdej stronicy, wprost w każdem zdaniu. Nic nie szkodzi, że powieść sklecona jest licho, że styl skrzypi jak źle nasmarowana oś!

Przecież p. Olechowskiemu idzie zupełnie o co innego, Publiczność lubi gorszące sytuacje, lubi patrzeć jak zdrowy młodzieniec uwodzi piękne kobiety i jak one go na przemian uwodzą. A p. Olechowski zna publiczność! Kto wie, może uda mu się ją kiedy uwieść.

Obecnie p. Olechowski drukuje w „Gazecie Warszawskiej" powieść p. t. „Rycerz". Jest to bardzo miła, pikantna historja. A styl?.. Posłuchajcie: „...Nie musiał tego powiedzieć tonem beznadziejnym, bo Sara zrobiła *górną sferą*, swego gibkiego, jak trzcina ciała pół zwrotu na prawo i t. d.

Swoją drogą, jest rzeczą niezmiernie ciekawą, w jakiej sferze ciała mieści się „talent" p. Olechowskiego. Czy w tej górnej, czy nieco niżej? (*a*)

Stacja pocztowa w Hulczy...

W starym, pochylonym ku ziemi dworku, z którego ścian spoglądają drzeworyty i ryngrafy, dziarski Kościuszko, wypłowiały książę Józef, obok skołatanej mnogiemi trudy flinty oraz licznych trofeów łowieckich: rosochatych rogów, skór, wypchanego ptactwa stoi sobie mahoniowa bibljoteka, niegdyś oszklona, obecnie świecąca tylko jedną szybką.

Poważnie uszeregowały się w niej tomy czarno oprawne...

Zakurzone leżą kalendarze rolnicze i akta zębem czasu szarpnięte niewiedzieć jakie, czy to dokumenty heraldyczne rodu, czy sprawy, prowadzone w sądach grodzkich przed tylu, tylu laty...

W takiej bibljotece przypadkowy a rzadki lektor znajdzie dzieła Józefa Korzeniowskiego...

Nie są to pisma stare. Okładki jeszcze trzymają się dzielnie. Ale papier lichego wydania już pożółkł.

Pół wieku bowiem ubiegło od dnia skonu autora tych pism.

Biorę do ręki jeden tom i udając się na spoczynek, życzę dobrej nocy gospodyni domu...

Śnieżnobiałe równie spowił złotą nicią cichy i harmonijny ton trąbki pocztowej... Wkulony w zaspę śniegową zajazd żydowski. Stacja pocztowa gdzieś na Podolu... Zajechał tu właśnie pan deputat w płaszczu sobolowym. Jest rozsądny. Lubi ład. Nosi okulary. Nazywa się Erazm...

Na świecie panują Mikołaj I i Ludwik-Filip.

Podpisaną imieniem tego pierwszego *podorożnię* ma w kieszeni pan deputat... Ale to niema nic do rzeczy. Ważniejsze jest to, że w tej samej karczmie stanęła panna Hortensja ze Skalińskich, córka marszałka, przyszła pani deputatowa...

Lokaj Erazma, Tomasz, zakochał się w Kasi, służącej Hortensji.

Naturalnie. Mogłożby być inaczej?

Piją herbatę i gawędzą sobie swojsko, poczciwie o tem, że nie należy grać w karty i trwonić pieniędzy.

Hortensja zapewne mówi na stronę: Jakże rozsądny jest on... Erazm jej wtóruje: Jakże cnotliwa jest ona.

Ona jest nietylko cnotliwa, ale i bogata. On ma dwie wsie.

Wszystko musi skończyć się szczęśliwie.

Jego usta okolone bokobrodami przywrą do jej gorących lic i włosów, wybijających się z pod różowego kapturka. Ale to później.

Na scenie i w powieści nie wypada.

A Marcin w tym czasie mówi do Kasi:

— Śliczna panno Katarzyno!

Kasia mu odpowiada ciszej: Przystojny panie Marcinie!

Tak przyzwoicie romansują sobie, bo mają przyzwoitych państwa. Inni panowie włóczą się po jarmarkach, rozbijają z aktorzycami, a przytem nieludzko obchodzą się z kmiotkami.

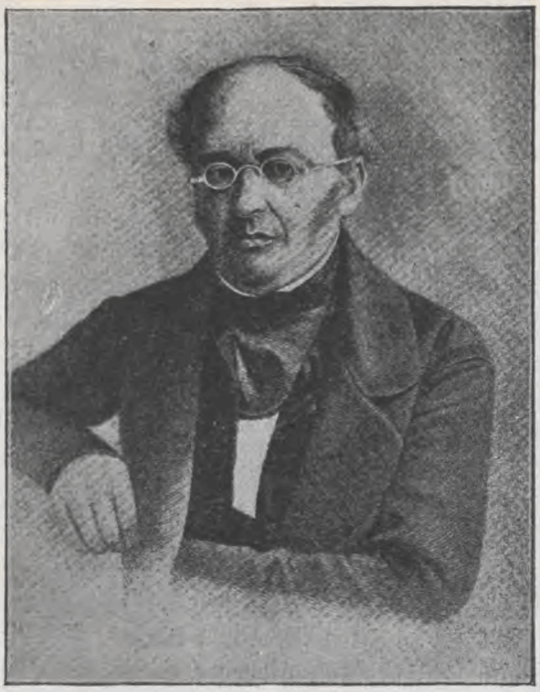
Książka wypada mi z rąk. Zaczynam roić w pół-śnie.

— Zapewne, zapewne. Nie należy uciskać poddanych, birbantować, żenić się powtórnie, gdy się jest wdowcem, no... i smalić cholewek.

Musiały djablo kusząco wyglądać te koronki spadające z pod krynoliny i nóżki w białej pończoszce na krzyż przewiązane aksamitką. Czy mógł ich czarom oprzeć się jakiś Karol, czy Hipolit, jakiś porucznik, literat, kasztelanic, jakiś romansowy i czuły młodzian, właściciel ciżm, dużego francuskiego cylindra i złotego polskiego serca. Jakże podobały się maciupcie nożki księżniczki Zofji biedakowi Antoniemu Starowięckiemu. Oboje pałali afektem strzelistym i wzniosłym, mieli się ku sobie szczerze. Ale nie można... Antoni zdobył się na tyradę:

— „Oto ja syn biednego szlachcica, zrządzeniem Opatrzności zyskałem serce i miłość tej pani. Ona mi ofiarowała swą rękę; i ja przez wzgląd na jej imię, przez uszanowanie dla jej rodu, nie przyjąłem jej.“

(Do Zofji) Zofjo! Czy ty wierzysz, że pokój całego życia mojego zniszczony? że na cierniowej drodze, która mię czeka, twój tylko obraz przyświecać mi będzie? że nie będzie ani jednej myśli w moich dumaniach, ani jednego marzenia w snach moich, któregobyś nie była treścią, celem, duszą? Wierzysz-że Zofjo?



Józef Korzeniowski (1863–1913).

Zofja odrzecze, że „szanuje powody“ nieszczęśliwego rycerza.

Antoni. O! ta ofiara będzie naszą zasługą, tam—a tu moja Zofjo ostatniż raz się widzimy?

Zofja (podaje mu rękę). Ostatni, mój jedyny! (On klęka i całuje jej rękę).

Stearynowemi łzami płacze moja świeca nad cierpieniem serc tych dwojga...

Zazwyczaj Korzeniowski jest mniej okrutny i pary łączy ku ukontentowaniu bohaterów tudzież czytelników.

Nałóg ten jego wywołał w swoim czasie zarzuty ze strony gorętszych literatów ówczesnych.

Siemieński z Krakowa, Klaczko z Paryża zaatakowali autora: „Kollokacji“ i „Krewnych“. Pomawiano go o chłód, oportunizm, brak ideału. Zawiązała się ostra polemika, w której z obu stron padły słowa obraźliwe.

Napadnięty Korzeniowski udzielił odpowiedzi Siemieńskiemu i Klaczce w „Złotych kajdanach“. Przedstawia pierwszego, jako krytyka sprzedajnego, bez zasad, pozującego na mentora i cenzora moralności, drugiemu wytyka jego pochodzenie. „Złote kajdany” znakomicie charakteryzują nieprzyjazny stosunek Korzeniowskiego, który uważał się pomimo wszystko za demokratę, piętnował przywary arystokracji, występował w obronie praw ludu—do warszawskich salonów literackich. Na obrazie Leonarda malarza niepodobna odróżnić wróbli od nietoperzy, chmur od wyspy i t. d. Poeta Heljodor hołduje swobodzie fantazji i używa takich wyrażeń, jak *rozanielić, wyłonić.* Oburza to Korzeniowskiego do tego stopnia, że robi jednego i drugiego pieczeniarzem. Heljodor w jego sztuce poluje na posag i marzy o wiosce, choćby nie wielkiej, lecz oddzielnej w sobie.”

...„Żeby tam można mieć parobków kilku, coby robili za mnie; ekonoma, coby doglądał pracy z harapnikiem; i choćby chmyza, byle dobrą stępą chodził, na którym mógłbym przed śniadaniem objechać pola, trochę się odświeżyć, i nabrać myśli do swych kompozycji.“

Były to insynuacje gołosłowne. Pisma przedpowstaniowe i emigracyjne szczerze przejęły się sprawą emancypacji ludu, łącząc swe hasła z prądem romantycznym w poezji i sztuce. Echa starego sporu literackiego przebrzmiały, by cichnące na wieki wraz ze zniesieniem poczty konnej odgłosy trąbki pocztowej...

Śniegi ıeakcji poprzedzającej rok 1848—stajały, aby wydać świeżą ruń entuzjazmu, którą nowe zwarzyły mrozy. Obróciło się koło historji i oto „wnuk spomniał dziada“. Młoda Polska wskrzesiła tych, którzy trawieni gorączką twórczą pierwszej połowy stulecia ukochali nad życie słowo — czyn. Norwid, Mierosławski, Mochnacki ukazują nam swoje drogie, zapomniane lub zeszpecone rysy, gdy Korzeniowski żółknie po starych bibljotekach i dobry jest na sen...

Stało się to dlatego, iż tamci wybiegli pogardzaną przez poczciwego bibljotekarza fantazją o całe stulecia naprzód, gdy ten pozostał tem, czem był, wiernym, umiarkowanym epikiem czasu szlacheckich jarmarków, krynolin, lichwy, procesów sądowych i rozsądnego afektu na stacji pocztowej w Hulczy.

Jerzy Jankowski.

Miguel de Cervantes Saavedra.



Miguel de Cervantes Saavedra.

Było to w roku 1615. Arcypiskup cesarskiego grodu Toledo zjechał był do Madrytu, aby złożyć wizytę ambasadorowi Francji, który rezydował naówczas w stolicy, przy dworze Filipa III. W toku rozmowy, jaka nawiązała się między świtą prałata a dworzanami, którzy towarzyszyli dyplomacie francuskiemu, wspomniano o najświeższych utworach literackich obydwu narodów. W owym czasie we Francji, zarówno w salonach prywatnych, jak i na dworze królewskim, wrzało od sporów literackich; toczył się bój zażarty między zwolennikami dawnych haseł a wyznawcami klasycyzmu, z Malherbem na czele, którzy rychło mieli utorować drogę złotego okresu. W Hiszpanji, Lope de Vega, autor dwuch tysięcy z okładem utworów dramatycznych, władca miljonowej fortuny, od lat trzydziestu panował niepodzielnie na scenie i był bożyszczem tłumów. Temat do rozmowy był urozmaicony i obfity.

Gdy wyczerpały się obopólne zachwyty, niemal protokularne, podobnie jak żale nad przygodami bohaterów niedawno drukiem ogłoszonej *„Astrei“* Honorego d'Urfé, w swoim czasie najpoczytniejszej zapewne książki, jaka kiedykolwiek światło dzienne oglądała, któryś z Francuzów, zwracając się do świty arcybiskupa, zapytał, czy nie mógłby się czegoś bliższego dowiedzieć o autorze świeżo na język francuski przełożonych przygód Don Kichota z La Mancha, które w kołach literackich sporo wywoływały wrzawy. Jakież było zdumienie cudzoziemców, kiedy usłyszeli, że twórca tej niebywałej powieści, Miguel de Cervantes Saavedra, dziwne przebywszy koleje, utraciwszy w obronie ojczyzny władzę w lewem ramieniu, jest teraz stary, żyje w zapomnieniu i cierpi nędzę.

— Jakże to? — zawołał jeden z obecnych, — czyżby ów Cervantes miał znosić niedostatek?!.. Czemu tedy nie jest utrzymywany na koszt skarbu?

— Broń Boże, — odparł arcybiskup, — aby to życzenie się sprawdziło, gdyż niedostatek właśnie zmusza go do pracy i w ten sposób jego nędza jest źródłem naszych bogactw.

Jest spora doza okrucieństwa w tej odpowiedzi dostojnika kościelnego, jak ją nam przekazała legenda. A jednak tkwiło w niej jądro prawdy: Cervantes, starzejący się i wynędzniały po wielu latach uciążliwych trudów, skąpo faworyzowany przez hrabiego de Lemos i tegoż samego arcybiskupa Toledo, który tak bezwzględną wydał o nim opinję, w rzeczy samej pisał dla chleba.

Urodzony w r. 1547, w epoce, kiedy duch rycerski Średniowiecza chylił się do upadku i w kraju, gdzie istotna tradycja dawnego rycerstwa nigdy nie wygasła, Cervantes przyniósł na świat w równej mierze zadatki na bohatera i na wielkiego pisarza. Życie miało usprawiedliwić i te i tamte skłonności. Liczył lat dwadzieścia dwa, kiedy potrzeba wyładowania sił żywotnych, zawiedzione ambicje literackie, a może i jakaś inna jeszcze, bardziej realna przyczyna, rzuciły go nagle w rozgardjasz wojny włoskiej. W r. 1571 widzimy go walczącego pod sztandarami Jana Austrjackiego pod Lepanto, gdzie raniony wystrzałem z rusznicy, traci na resztę życia władzę w lewej ręce. W parę lat później, kiedy uzyskawszy urlop kilkumiesięczny, płynął do Hiszpanji, schwytany przez korsarzy Maurytańskich, dostaje się do niewoli. Pięć lat spędził jako jeniec w Algierze. Ten okres życia Cervantesa obfituje w próby ucieczki, epizody romantyczne, intrygi miłosne, podżegania do buntu, o których liczne wzmianki znajdujemy w jego dziełach.

Kiedy wreszcie, wykupiony przez Braci Trynitarjuszy, Cervantes w r. 1580 wraca do Hiszpanji, pomimo swego kalectwa, znowu zaciąga się pod sztandary. W owym czasie miał już przygotowane niektóre nowele, osnute na tle życia w Algierze i kilka poezji okolicznościowych; ale dopiero w r. 1585, późniejszy autor Don Kiszota, porzuciwszy żołnierkę, zwraca się ostatecznie ku literaturze. Po *Galatei*, powieści pastoralnej, która została przyjęta nader przychylnie przez koła literackie, powstały kolejno zaginione dziś przeważnie, a z tytułów nam tylko znane, dramaty i komedje. Cervantes obiecywał sobie, że teatr dostarczy mu przynajmniej środków do życia. Zawiodły go jednak te nadzieje. W istocie, nie posiadał on ani należytego poczucia akcji scenicznej, ani dostatecznych zdolności nadawania życia działającym postaciom, aby zdobyć dla sztuk swoich trwałe powodzenie.

I oto następuje w życiu naszego pisarza okres najokropniejszej tułaczki i mozolnej pracy dla chleba. Pogrążony niemal w nędzy z żoną

i córką, jako komisarz podatkowy, przez szereg lat wędruje od miasta do miasta po Andaluzji, prowincji La Mancha, królestwie Grenady. Oskarżony przez zawistnych o nadużycia w rachunkach, dostaje się do więzienia, gdzie, z krótkiemi przerwami, przebył pięć lat z okładem. I tam, w ponurej ciemnicy, kędy prócz rozpaczy, żaden z objawów życiowych niema dostępu, miała powstać, jak chce legenda, część pierwsza owego arcydzieła humoru, jakiem jest *Don Kiszot*. Wypuszczony wreszcie w r. 1603 na wolność, Cervantes, z przygotowanym do druku rękopisem, udaje się do Madrytu w poszukiwaniu wydawcy.

Don Kiszot, który w dwa lata później ujrzał światło dzienne, przyjęty entuzjastycznie przez jednych, przez innych — złośliwie, nie przysporzył bogactw swemu twórcy. Od tej jednak chwili, Cervantes jeśli nie opływa w dostatki, tę przynajmniej ma pociechę, że może żyć z pracy literackiej. W ciągu lat następnych ukazują się kolejno: *Nowele Przykładne*, *Podróż do Parnasu*, *Komedje*, *Druga część Don Kiszota*. W kwietniu r. 1616 Cervantes umiera, nie doczekawszy się ogłoszenia drukiem *Prac Persileza i Sigismundy*, które, jak mniemał, miały być najdoskonalszym wyrazem jego talentu i uwieńczeniem jego dzieła.

Trudnoby było znaleźć w dziejach literatury drugi podobny przykład ustawicznego borykania się z losem, jak żywot Cervantesa. I rzecz zdumiewająca: ten żołnierz, który władał mieczem tak samo sprawnie jak piórem, ten nędzarz, który przez cały szereg lat tułał się po świecie prawie bez dachu nad głową, pozostawił po sobie jedno z najdoskonalszych arcydzieł, jakie miały oglądać przyszłe pokolenia. *Don Kiszot* — to więcej niż powieść, to epopeja Hiszpanji na przełomie Średniowiecza i czasów nowożytnych, epopeja ducha rycerskiego, spalonego już na popiół, a jednak wiecznie żywego. A jednocześnie jest to książka najbardziej ludzka, jaka kiedykolwiek została napisana: wesoła i smutna, jak życie; w równej mierze pocieszająca i beznadziejna.

Rozgłos *Don Kiszota* przyćmił sławę innych dzieł Cervantesa. A jednak wśród dwunastu opowiadań, które stanowią zbiór *Nowel*) Przykładnych*, jest przynajmniej połowa istnych arcydzieł obserwacji, zmysłu satyrycznego i dowcipu. I nawet wśród dzieł scenicznych, które przez dwa wieki spoczywały mrokiem zupełnego zapomnienia pokryte, łacno znaleźćby można parę pereł humoru, parę akcentów głęboko tragicznych.

Dzieło Cervantesa — to dzieło wieku męskiego: śmiech jego jest szczery, niepohamowany, a rzadko zgryźliwy. Jego smutek nie przechodzi nigdy w paroksyzm rozpaczy; jest równie pogodny i głęboki jak słowa mędrca: vanitas vanitatum et omnia est vanitas.

Zdzisław Milner.

*) Dwie nowele z tego cyklu, w przekładzie p. Zdzisława Milnera, drukowane były w "Złotym Rogu".

Szlakami życia miljardera.

3)

Bardzo charakterystyczna była jego działalność w ostatnich latach życia. Regulował i likwidował wówczas swoje interesy w ten sposób, aby śmierć jego nie wywołała przesileń na rynku. Panując osobiście nad setkami miljardów różnych wartości, operował tak, aby z chwilą jego zgonu nie powstały wstrząśnienia na niekorzyść posiadaczy tych walorów przez trudność rozwikłania zobowiązań.

„Morgan, — powiada pewien polski ekonomista, — był najdoskonalszym wyrazem owej fazy gospodarczej Stanów Zjednoczonych, która musi kiedyś zaginąć, ale która wyświadczyła pokaźne usługi rozwojowi przemysłowemu i finansowemu Ameryki. W tej fazie przypada mu rola jednego z najgenjalnych działaczy i jednego z najmniej drapieżnych.

„Ta epoka została już prawie zamknięta, a przynajmniej chyli się do upadku. Jej punktem zwrotnym była sprawa trustu pieniężnego, który dwie piąte środków obiegowych opanował, t. zn. zamknął w kole niewielkiej liczby monopolistów. Senat amerykański wdrożył był przeciw nim śledztwo i zupełnie słusznie dopatrywał się w tej akcji dążenia do zburzenia prawidłowej cyrkulacji pieniężnej. Morgan brał udział i w tej operacji. Wraz z innymi poddawany był badaniu i pozostawał pod długiem śledztwem. To podobno podkopało jego system nerwowy i przyśpieszyło śmierć. Być może, że starzec wreszcie zrozumiał, iż w metodzie jego wielkich konstrukcji były i wykroczenia przeciw prawom moralnym. Ale Amerykanie nie pamiętają mu dziś tych wykroczeń. Oddają pełne uznanie temu, który był genjalnym wyrazem wielkich prądów rozwojowych w życiu gospodarczem przy takich jego formach, jakim dana faza ewolucji społecznej drogę utorowała."

Przejdźmy teraz do cyfr. Jeden na nie rzut oka wystarczy, aby ogarnąć całą olbrzymią, niepojętą, wprost bajeczną potęgę finansową tego, którego nie bez powodu nazwano Królem Finansów.

Zastanówmy się wszakże najsamprzód nad fortuną osobistą Pierponta Morgana i przy tej



Rysował A. Świdwiński.

Motyw z Don-Kichota.

okazji nad fortunami kilku innych złotych nababów Ameryki.

Ekstrawagancyjni Amerykanie mają również ekstrawancyjny sposób szacowania swoich obywateli. Otóż w Ameryce nie mówi się, ile taki lub owaki potentat posiada w swym majątku



Bank Morgana. Gabinet miljardera znajduje się na 31 piętrze (×).

miljonów, lecz *ile wart jest*, a wart jest akurat tyle, ile ma, jeśli zaś niema nic, to naturalnie i nic nie wart, a jeśli ty, czytelniku, posiadasz w swoim majątku tylko dwa grosze, to oczywiście tylko dwa grosze jesteś wart...

Lecz Morgan tem właśnie różnił się od swoich kolegów-miljarderów, że był *więcej wart, niż miał*. W porównaniu z innymi krezusami Ameryki, Morgan mógł uchodzić za najbiedniejszego krezusa, rzecz jasna. W hierarchji tedy miljarderów zajmował Morgan trzecie zaledwie miejsce, posiadając nie więcej nad 800,000,000 franków *) osobistego majątku. Pierwsze natomiast miejsce zajmuje John D. Rockfeller, król nafty, który — używając wciąż terminologji amerykańskiej — „wart jest" 2,000,000,000 franków. Drugie miejsce w hierarchji miljarderów zajmuje Andrew Carnegie, posiadający zaledwie 1,500,000,000 fr., czyli tylko półtora miljarda. Należy zauważyć, że o ile Morgan debiutował dość szczęśliwie (mając bogatego ojca i odziedziczywszy po nim pewną fortunę), o tyle ci ostatni pierwsze swe kroki na drodze karjery życiowej zmuszeni byli stawiać w daleko gorszych warunkach. Ojciec króla naftowego, William Rockfeller, piastował dość demokratyczny, acz skądinąd szacowny urząd — tragarza. Zaś Andrzej Carnegie, on sam, dzisiejszy król stalowy, debiutował w fabryce drutu, jako terminator, czyli chłopiec na posyłki, pobierając miesięcznej pensji aż 25 franków, czyli niewiele więcej nad 2 ruble tygodniowo. Królem zaś czuł się już wtenczas, gdy udało mu się uzyskać urząd roznosiciela depesz w biurze telegraficznem w Ohio, a następnie i telegrafisty w stanie Pensylwanja.

Poza wymienionymi tu królami Finansów, Nafty i Stali, posiada jeszcze Ameryka króla Drzewnego, Wegerhausera; króla Dróg Żelaznych, Harrimana; króla Cukru, Havermeyera; króla Tabaki i Tytuniu, Szorillarda; króla Mięsa, Armura, no i sukcesorów słynnego króla Morskiego, Corneliusa Vanderbilta.

Jednak wszyscy ci królowie, których potęga w pięciu częściach świata przewyższa potęgę niejednego króla z bożej łaski, są tylko pigmejczykami, karłami wobec przepotężnej indywidualności i władzy, która nie miała sobie równej na ziemi a jaką była władza króla Finansów Pierponta Morgana.

Kilka następujących liczb są tego dowodem.

Suma kapitałów, jakiemi zarządza grupa Morgan - Rockfeller, wynosi, według statystyki jaknajbardziej sumiennej i jaknajbardziej zredukowane do minimum, 208,534,576,059 fr., czyli 208 miljardów, 534 miljonów, 576 tysięcy i 59 fr.! Z tej sumy (która jest prawie tak duża, jak bogactwo narodowe najbogatszego kraju w Europie, Francji) — przypada na koleje żelazne, albo raczej na trust kolejowy, na którego czele znajdował się Morgan, 84,662,500,000 fr. Z wysokości swego złotego tronu zarządzał Morgan niepodzielnie piętnastu największemi linjami dróg żelaznych, które przecinają olbrzymie terytorjum Stanów Zjednoczonych, a których długość jest dwa razy większa od całej sieci dróg żelaznych Francji dzisiejszej: 90,000 wobec 46,000 kilom.



Pierpont Morgan.

*) Jedne źródła podają 800,000,000 franków, inne 800 miljonów dolarów, czyli 4 miljardy franków. Dokładnej sumy nikt nie potrafił określić, nawet sam Morgan.

Z owych 208 miljardów przypada w dalszym ciągu 81,093,523 fr. na zakłady i przedsięwzięcia industrjalne; 22,054,787,643 fr. na banki i inne instytucje kredytowe; 7,879,987,143 fr. na przedsiębiorstwa górnicze i naftowe; wreszcie 6,943,718,250 fr. na rozmaite inne przedsiębiorstwa finansowo-industrjalno-eksploatacyjne.

Takie to bajońskie fortuny skoncentrowane są w trustach, na których czele stał nasz amerykański bohater. Lecz najbardziej skończonym typem, najbardziej doskonałym, jeśli tak wolno powiedzieć, *wzorem* trustu jest ten, który powstał z porozumienia zawartego pomiędzy Morganem i dwoma innymi amerykańskimi nababami, Moorem i Carnegiem. Jest to t. zw. *United States Steel Corporation,* czyli Trust Stali. Grupa Morgan-Moor wniosła 1500,000,000 franków w obligacjach, Carnegie dopełnił sumy tej do 2 miljardów, a wskutek przyłączenia się do trustu innych grup, bądź przemysłowych, bądź finansowych, suma ta w krótkim czasie wzrosła do 4 miljardów i w chwili obecnej wynosi akurat 7,820,598,975 fr., z których na akcje zwykłe przypada 2,668,588,125 fr., na akcje zarezerwowane 1,891,475,775 fr. i na obligacje 3,260,535,075 franków. United States Steel Corporation posiada 150 własnych hut żelaznych, kopalń węgla, fabryk i zakładów przemysłowych, posiada własną flotę morską, tudzież przeszło 6,000 kilometrów własnej drogi żelaznej.

W r. 1910 wyszło z fabryk Trustu Stalowego 11,831,000 ton żelaza lanego, 14,170,000 ton stali, 2,118,000 ton szyn kolejowych, tramwajowych i budowlanych i blizko 10,000,000 ton innych produktów!

Morgan brał dość blizki udział i w innych trustach: w *Standard Oil* (Trust Nafty), w *International Mercantile Marine Company* (Trust Oceanu) i w t. p. Trust Nafty składa się z czterdziestu towarzystw naftowych i dostarcza $^2/_3$ produkcji naftowej, konsumowanej w Stanach Zjednoczonych. Drugi składa się z siedmiu towarzystw transportowych, posiada własne porty i ładuje kilkanaście miljonów ton rocznie.

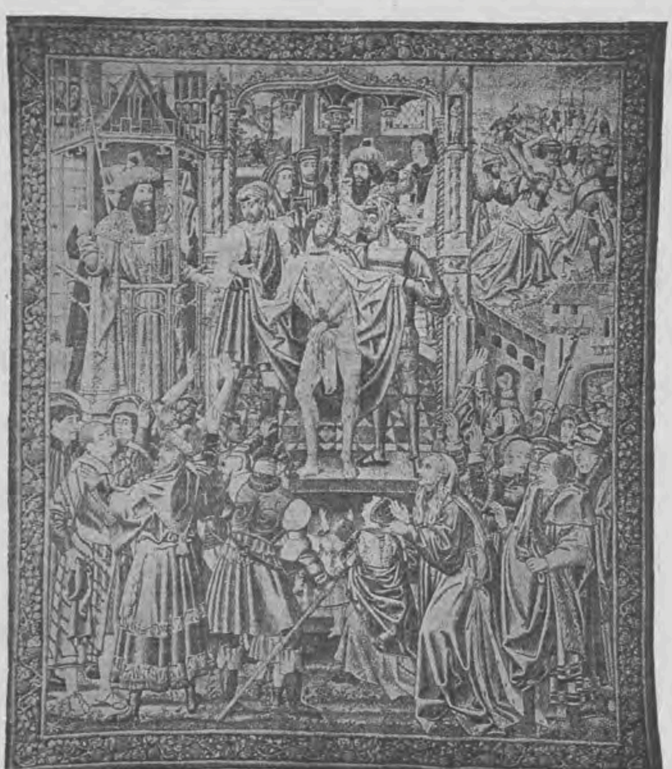
Dzierżąc w swem ręku kontrolę wszystkich tych trustów, posiadając wpływy i władzę, o jakiej najsłabszego nie możemy mieć wyobrażenia, mając wstęp i posłuch u prawdziwych, z bożej łaski, królów ziemi, Morgan ze wszystkich tych przywilejów, któremi go los i własne zasługi tak hojnie obdarowały, korzystał w stopniu tylko nieznacznym; zewnętrznie nie różnił się niczem od zwykłego śmiertelnika, pod względem zaś umysłu i charakteru tylko niewielu mogłoby mu dorównać. To też z całą słusznością można Pierponta Morgana zaliczyć do najznakomitszych postaci epoki współczesnej.

Morgan, jako człowiek i filantrop.

Dwie zwłaszcza osobistości cieszyły się w ostatnich latach w Ameryce niezwykłą popularnością: to „Pip“ i „Teddy“.

Przydomkiem „Pip“ obdarzono naszego bohatera; kto zacz ów „Teddy“ wie każdy europejczyk i ubliżyłbym na punkcie europejskości naszym czytelnikom, gdybym im powiedział, że Teddy to Teodor Roosevelt.

W Ameryce często porównywano Pipa i Teddy,ego, czyli Morgana i Roosevelta. Obydwu



Gobelin, mający 600 lat, tkany złotem p. t. „Ecce Homo“, kosztował pół miljona franków.

w istocie wspólne charakteryzują cechy. Umiejętność przezwyciężania wszelkich trudności, rozbrojenia najgwałtowniejszej choćby opozycji, łatwość, z jaką ci dwaj Amerykanie dawali sobie radę w najtrudniejszych sytuacjach politycznych, finansowych i wogóle życiowych — niejednokrotnie zdziwiła świat i uczyniła ich też może najbardziej popularnemi postaciami na obu półkulach naszego globu. Obaj wykazali niezwykłą siłę, którą nazwałbym *dynamiczną* i która rzeczywiście czasami niemal cudów dokonywała.

Lecz poza temi cechami nic już nie pozwala porównać niedawno zmarłego króla Finansów z żyjącym pretendentem na „tron" amerykański.

Roosevelt jest jednym z najlepszych mówców Ameryki, gorącą lawą płyną z jego ust dziesięciogodzinne oracje, lubi perorować kiedy potrzeba a częściej, kiedy niepotrzeba — Morgan należał do najwięcej milczących ludzi 19 stulecia, był zamkniętym i zimnym, mógł całemi godzinami słuchać, a w odpowiedzi nie wygłosić więcej nad 3-wyrazowe zdanie, lub jedno tylko słówko. Roosevelt ma prawdziwą pasję do polityki, urodził się mężem stanu, stacza boje na śmierć i życie o fotel prezydencki Unji — Morgan nienawidził polityki z całej duszy, uciekał od niej, jak od trądu, a politykom rzetelną okazywał pogardę. Roosevelt przepada za towarzystwem, bankietami, toastami — Morgan najchętniej przebywał w samotności, a gdy żona jego lub córki urządzały w domu ucztę, Pierpont zamykał się w swoim gabinecie na siedem rygli. Roosevelt lubi pozować przed królami i tłumami, nadrabiać miną i wobec uczonych i wobec własnego służącego—Morgan był zawsze jednakowo sztywny, jednakowo obojętny, nie zachowywał się inaczej wobec Wilhelma II, jak wobec swego własnego konsjerża. O ile niema w Ameryce — powiadają — ani jednego człowieka, któremu nie ukłoniłby się Teddy, o tyle pięćdziesiąt zaledwie osób może się poszczycić, że obiadowało u zmarłego miljardera.

Przyjaźń łączyła Pierponta tylko z tymi, których znał od dzieciństwa; wobec reszty świata trzymał się jaknajbardziej zdala. Nigdy nie pokazywał się na zebraniach publicznych, o których nie bardzo pochlebnego był zdania. Reporterzy i fotografowie, którzy nań w dzień i w nocy czychali, irytowali go do tego stopnia, że nie chciał wprost pokazywać się na ulicy. Gdy wychodził ze swego banku lub domu, miał tuż przed drzwiami karetę, do której szybko wskakiwał i ukrywał się w jej głębi; wydał polecenie swym urzędnikom, aby nie kłaniali mu się więcej nad raz dziennie; nie tolerował, aby ktokolwiek podszedł do niego na ulicy i o coś go prosił lub pytał; unikał wogóle ludzi i nie chciał być przez tłum obserwowanym — wbrew wszystkim znakomitościom tego padołu, które lubią, aby podziwiano ich twarze, strój, gesty i sami niejako szukają okazji pokazywania się tłumom (jak naprz. prezydent Poincaré.)

Morgan podczas całego swego życia był najwięcej oszczędnym — w słowach. Był tak dalece lakoniczny, że najpoważniejsze tranzakcje, wynoszące czasami setki miljonów, zawierał jednem tylko słowem: „Akceptuję". Najdrogocenniejszą dlań rzeczą na świecie był — czas. Drożył się tak pedantycznie, że miał wyliczone minuty dnia i roku. Sam robił tylko to, w czem nikt go nie mógł zastąpić.

Zdarzały się wszakże chwile, kiedy Morgan stawał się wyjątkowo wielomównym. Było to wówczas, kiedy dotykano pewnych ewenementów jego życia, pewnych przejść, które pozostawiły ślady w jego duszy i których rozpamiętywanie dostarczało mu najwięcej może z doznawanych rozkoszy — tak rzadkich w życiu miljardera. Zdawałoby się, że współczesny Krezus może sobie chyba pozwolić na wszystkie współczesne „rozkosze", ziemskie i nieziemskie, a jednak zażywa ich niewątpliwie mniej, niż niejedna nadobna czytelniczka „Złotego rogu".

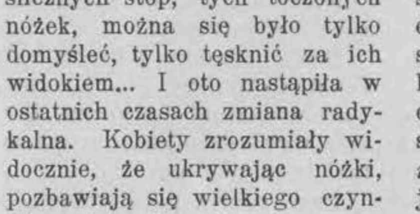
(d. c. n.) *S. Auerbach.*



Femina

STOPY I NÓŻKI KOBIECE.

Jeden z działów modno-tualetowych, zawsze bardzo ważny, wysunął się obecnie na plan najpierwszy, zajmując jedno z najznamienniejszych miejsc w dziedzinie mody i w kobiecej tualecie. Ładne obucie, które zawsze dopełniało eleganckiego ubrania i było z niem ściśle związane, stało się teraz kulminacyjnym punktem wysokiej elegancji, z podkładem wyrafinowanej kokieterji. Przez cały szereg lat, nóżki kobiece kryły się dyskretnie i jakby trwożliwie, poza obsłoną koronek, batystów i jedwabi. Tych drobnych ślicznych stóp, tych toczonych nóżek, można się było tylko domyśleć, tylko tęsknić za ich widokiem... I oto nastąpiła w ostatnich czasach zmiana radykalna. Kobiety zrozumiały widocznie, że ukrywając nóżki, pozbawiają się wielkiego czynnika piękności, że nie wyzyskują jednego ze ślicznych darów swej urody i postanowiły odzyskać co prędzej czas stracony.



Zegarek na nóżce.

Oczywiście moda — ta w s z e c h w ł a d n a wspólniczka naszej zalotności, wzięła tę sprawę pod swe opiekuńcze skrzydła i otaczając specjalnemi względami nóżki kobiece, stworzyła dla nich cały tualetowy repertuar, mający na celu wydobycie stóp z dotychczasowego ukrycia i przedstawienie ich zdumionym oczom w n a j p i ę k n i e j s z e m świetle, to jest w najefektowniejszem ustrojeniu. Krój sukien *Spacerowych* odsłaniających całe stopy a *wieczornych i balowych* ukazujących nóżkę prawie do kolana, stał się głównym motorem tego przeistoczenia. Przemysł szewcki i pończoszniczy, stworzył i tworzy ciągle coraz to nowe, coraz to piękniejsze trzewiki w kilkunastu odmianach i pończochy przebajeczne... Jedna z paryzkich diw operetkowych *Anna Held,* zapoczątkowała zdobnictwo trzewików wieczornych sztucznemi lub prawdziwemi kamieniami, i dzianie pończoch temiż kamieniami lub srebrem i złotem.

Dziś wytworna elegantka zmienia obucie nogi kilka razy dziennie kładąc specjalny nacisk na wszystko co się do jej prześlicznych stopek odnosi.



Wkładanie pantofelka.

Marcèle.

WYSTAWA „KRÓLESTWO MODY".

Dzielnie, ładnie i elegancko sprawił się cały szereg naszych młodych, ruchliwych i energicznych firm kupieckich — na Wystawie, noszącej szumny tytuł: „Królestwa Mody". Opuszczeni zupełnie, niewiadomo z jakich przyczyn, przez swych starszych poważnych i możnych

kolegów po fachu, którzy udziału w Wystawie nie przyjęli — zabrali się sami solidarnie do dzieła i nie szczędząc zachodów i dużych względnie do młodych sił kosztów materjalnych— umożliwili dojście do skutku Wystawy, zorganizowanej pod hasłem Mody, a więc bardzo ponętnej dla uroczych warszawianek oraz dla tych, którzy im na Wystawie towarzyszą. A przecież wiadomo, że tam, gdzie spieszą nasze panie, tam podąża za niemi liczny zastęp ich —władców, niewolników!..

Oczywiście, nazwać tę ładniutką, wystawową całość „Królestwem Mody“, w ścisłem tego słowa znaczeniu, jest nieodpowiedniem i niewłaściwem. „Królestwo Mody“ obejmuje działy tak obszerne, zatacza koła tak olbrzymie, ilustruje tak wielką gałąź wszechświatowego przemysłu i handlu, że zamknąć je w zacieśnionych ramach, jednej choćby bardzo eleganckiej wystawki — jest to samo, co ująć fale wartkiego i nieprzebranego potoku, w jakieś małe jeziorko.

Warszawa jest niezmiernie podatnym gruntem dla wszystkiego, co ma styczność ze światem Mody. Polki wogóle przepadają za modnem, eleganckiem ustrojeniem swej niezwykłej urody, są wysoce estetyczne, we wszystkiem co zdobi ich osoby — ich życie — ale... niestety, nasze materjalne warunki muszą ograniczać nasze chęci — i dlatego, ani warszawska modna wytwórczość, ani import nie może się mierzyć z wielkiemi stolicami świata... nie może być „Królestwem Mody“.

Przystępując do opisu omawianej przez nas Wystawy, zaznaczyć przedewszystkiem musimy wspaniałą istotnie witrynę stylowych kostjumów, będących własnością Warszaw. rząd. teatrów, użyczonych łaskawie przez Prezesa p. Małyszewa, a więc: Stylowe fraki z odnośnej epoki, ofiarowane teatrom warszawskim przez króla Stanisława Augusta (wspaniałe hafty pelami i kordonkiem *en relief)*. Dwa piękne kostjumy mandarynów chińskich, bogato haftowane oraz serja strojów stylowych z tragędji Marja Stuart, Otello i t. d.

W dziale sztuki stosowanej powszechną zwraca uwagę piękny pawilon, *P. N. Bober*. Artystyczne inkrustacje i mozajki, którym całemi godzinami przypatrywać się można.

Ładny pawilon pracowni artystycznej p. *Wyleżyńskiej*. Wyroby ze skóry wytłaczanej ręcznie.

Bardzo zajmujący pawilon p. *Heleny Gabryjelowej*, mieszczący jedwabnictwo i wyroby pierwszej szkoły koronkarstwa w Królestwie Polskiem.

Poważny pawilon, mieszczący stylowe meble w pięknej dekoracji fir. *Jan Bereziński* (roboty tapicerskie, dekoracje stylowe i fantazyjne.

Wytwornie urządzony pawilon p.p. *W.* i *W. Krąkowskich* śliczne meble trzcinowe, całe urządzenia ogrodowe i werand w artystycznem obramowaniu.

Obszerny pawilon towarzystwa przemysłowego *„Tkacz“* (Kamienica polska) oraz pierwsza krajowa fabryka artystycznych tkanin kościelnych, w stylu średniowiecznym. Tkaniny te uzyskały wielkie medale złote i srebrne na wystawie w Chicago, St. Louis, Paryżu, Krymie. Głównym kierownikiem T-wa jest ksiądz Z. Sędzimir.

Ładne, eleganckie pawiloniki, z prześlicznemi abażurami, z uwzględnieniem oświetlenia elektrycznego. Specjalnie wyróżnia się firma p. *Stokowskiej*, z prześlicznemi okazami abażurów.

Pawilon Pierwszej chrześcijańskiej fabryki luster bardzo starannie urządzony.

Parę pawilonów z artystycznemi robotami kobiecemi.

Pawilon warsztatów tkackich w Koroszynie; tkaniny lniane, firanki, portjery, obrusy, laufry i t. d. ręcznie haftowane.

Pawilon Tow. Akc. fabryki wyrobów metalowych p. f. *Norblin, B-cia Buch i T. Werner*, artystycznie dekorowany. Dawna znana firma. Gust i wykonanie przepiękne.

Pawilon z wyrobami platerowanemi oraz z przepięknemi papierośnicami srebrnemi i złotemi.

Księgarnia *E. Wende i Sp.* w obszernym i wytwornie urządzonym pawilonie, dała możność przeglądania i nabywania książek i różnych wydawnictw krajowych i zagranicznych.

Przechodząc do okazów Mody w ścisłem, osobistem jej znaczeniu, zaznaczyć należy — w działach kapeluszy:

Pawilon p. *Reczyńskiego* z kapeluszami *gênre Habich*, w bardzo dobrym tonie.

Pawilon z kapeluszami p. f. *„Maison moderne“*, mieszczący bardzo eleganckie okazy najnowszych paryskich modeli.

Sztuka gorseciarska, tak ważna w dziale mody, jest bardzo ładnie na wystawie ilustrowaną:

Witryna p. *J. Kropiwnickiej*, z całą zajmującą serją gorsetów, w poprawnem i eleganckiem wykonaniu, pozatem witryna firmy *à la Sirène*. Piękne materjały firmowe i bardzo staranne wykończenie.

P. p. *J. i Wł. Średniccy* wystawili bardzo eleganckie, modnym krojem, okazy gorsetowe. Ładne i praktyczne pasy.

Dział konfekcji i bielizny damskiej odznacza się wyjątkową elegancją i szykiem.

Duży pawilon w kształcie wytwornej, damskiej sypialni, z łóżkiem tonącem w najwykwintniejszej pościeli, zdobnej w batysty i koronki — i cały napełniony przepiękną damską bielizną, firmy p.p. *Tarnowskiego i Tomaszewskiego*.

P.p. *L. Pawłowski i B. Hellwig* urządzili piękny pawilon, ozdobiony paryskiemi woskowemi lalkami, wspaniale przystrojonemi w śliczne szlafroczki i wytworną bielizną.

Bardzo poważna witryna konfekcji i bielizny mękiej, wyłącznie własnej fabrykacji, bardzo wytwornej oraz przybory tualetowe mękie.

Dział konfekcji dziecinnej.

Obszerny pawilon zjednoczonych majstrów kuśnierskich, z pięknemi okazami blamów oraz konfekcji futrzanej eleganckiej i kosztownej.

Bardzo słabo reprezentowany dział szewcki.

Równie słabo i niestarannie dział krawiecki, za wyłączeniem jednakże, dawno znanej i uznanej pracowni krawieckiej mękiej p. *Zaremby*.

Kiosk pralni Parowej i pracowni mękiej p. f. *„Matylda“*, mieszczący bardzo poprawne okazy tego działu.

Dokoracyjny i barwny dział fabrykacji kwiatów sztucznych.

Na specjalną uwagę zasługują okazy kwiatów sztucznych z piór firmy *Jan Zyssek*, w zupełnie artystycznem wykonaniu.

Dział trykotarzy z praktycznemi okazami pończoch i trykotaży wszelkiego rodzaju.

Zdobnictwo sukien wspaniale się przedstawia w bardzo wytwornym pawilonie p.p. *Kłyszewskiego i Raczkowskiego*, koronki, hafty, tiule, wstążki, aksamity, galony, pasmanterje, guziki, żaboty, szale. Pawilon ozdobiony ślicznie ustrojoną paryską lalką.

Fryzjerstwo posiada na Wystawie przepiękną witrynę, z poza której widnieją rzadkiej piękności woskowe główki kobiece, prześlicznie uczesane, z całem wytwornem zdobnictwem tychże uczesań. Właścicielami firmy są p.p. fryzjerzy „Bolesław i Stanisław".

Dział perfumeryjno-kosmetyczny posiada jeden ładny kiosk i dwa pawilony, obficie zaopatrzone w wyroby krajowe i zagraniczne p. p. *F. Pulsa, Dobrowolskiego i Warszawskiego Chemicznego Laboratorjum.*

Na tem mniej więcej kończą się Wystawowe działy — nie wielkie, drobne — ale zebrane i eksponowane starannie i elegancko — to też młodym firmom naszym należy się bezwzględnie, gorąca pochwała i szczere życzenie, by im się poniesione trudy i koszły opłaciły i przyniosły spodziewane korzyści.

Na Wystawie urządzono elegancką estradę, gdzie się odbywają popisy wokalne i taneczne bardzo udatne, produkowane przez artystów Warszawskich Teatrów rządowych. Na galerji znajduje się dobra orkiestra i pierwszorzędna restauracja, z bardzo przystępnemi cenami. Wszystko to w połączeniu sprawia, że czas tam spędzany mija szybko i przyjemnie i że z żalem opuszcza się nasze miniaturowe... „Królestwo Mody".

Marcèle.





PRZY TELEFONIE.

Mały niepozorny przyrządzik, czarna szafeczka lub postumencik, o misternych widełkach z niklowaną tubką, tak zwaną słuchawką i długim zielonym sznurem wijącym się wężowato...

Oto taki drobiazg, łączy nasze domowe zacisze z żywo bijącym wielkomiejskim pulsem — Jedno lekkie poruszenie słuchawką, szepnięcie odnośnego numeru — i oto jesteśmy połączeni z żądaną osobą, jednoczymy się z całem życiowym ustrojem znajdującym się tam... na zewnątrz... Możemy momentalnie rozmówić się z każdą istotą z którą mówić pragniemy lub potrzebujemy *a ta istota może uczynić to samo względem nas* — i tu właśnie zaczynają się liczne do telefonu pretensje, trochę dzikie być może, ale bardzo usprawiedliwione. Każdy komu to tylko przyjdzie na myśl, może nas do telefonu przywołać, bez względu na naszą wiedzę i wolę. Możemy co prawda poprosić stację by nas chwilowo *wyłączyła*, możemy zresztą odłożyć na czas jakiś słuchawkę, ale te ubezpieczenia się, mogą nas w danej chwili pozbawić jakiejś ważnej wiadomości, jakiejś oczekiwanej lub też niespodziewanej nowiny... i jest znowu źle... Na to można odrzec, że mając w domu telefon ma się kogoś mogącego nas przy nim zastąpić, podchodząc na odgłos dzwonka. Zapewne — ale jakże mało jest tych inteligentnych zastępców lub zastępczyń przeczuwających nasze chęci. Następują zwykle między przywołującym a zastępującym nieudane pertraktacje zakończone tem, że zniecierpliwieni podchodzimy sami do telefonu, czyli że stajemy się prostem niewolniczem narzędziem — igraszką telefonicznego dzwonka. Ktoś naprzykład jest cierpiący lub nie życzy sobie jakichś nudnych bezcelowych odwiedzin, przywołany do telefonu, nie może wytłomaczyć się nieobecnością — i po chwili zmuszony jest poprostu, przyjąć u siebie i rozmawiać z natrętami którzy się telefonicznie zameldowali. A pomyłki i telefonujących i telefonistek... trwać to może całą noc... i dla tego można śmiało utrzymywać że, dla wrażliwych i nerwowych ludzi — telefon w mieszkaniu jest plagą... Przy obecnych warunkach życia być on musi, jest prawie nieunikniony, ale jak można najdalej od pokoi w których się ciągle przebywa. Najodpowiedniejszem miejscem dla telefonu w mieszkaniu prywatnem jest pokój dla służby, a prywatny człowiek powinien tylko telefonicznie wywoływać ale

nie być wywoływanym—zapewne jest to egoizm — ale tak zwany zachowawczy a więc dozwolony—w telefonicznych stosunkach. Z tych samych względów numer prywatnego telefonu nie powinien się znajdować w książce telefonicznej. Tym sposobem telefon służy tylko do załatwiania zamawiań, do czynienia różnych zakupów i t. d... Oczywiście cały świat kupiecki — bankierski — dziennikarski, artystyczny — jednem słowem wszyscy ci, którzy mają do czynienia z publicznością, nie mogą sobie na uniknięcie telefonicznych sygnałów pozwolić — dla nich telefon jest sprężyną i nerwem życia, oddające nieocenione i niczem innem nie zastąpione usługi, ale pańskie rezydencje, spokojne i poważne a ściśle zamknięte, w ograniczonem kole, powinny nie podlegać telefonicznemu despotyzmowi.

W telefonowaniu jak w każdym życiowym przejawie, potrzebny jest takt, etyka i umiar. Długie rozmowy powinny być wykluczone, zwłaszcza w miejscach publicznych w cukierniach w kawiarniach w barach, krótkie załatwienie interesu i na tem koniec. Wszelkie flirty przez telefon, są w wysokim stopniu niewłaściwe, nie w miejscu — i w dodatku niebezpieczne, bo nie dają gwarancji wyłączności — telefonu, *używać* można i trzeba—ale nadużywać go jest niewłaściwem i w bardzo złym tonie...

Marcèle



Meble trzcinowe fabryki W. i W. Krąkowskich.



Ze spraw robotniczych.

Długotrwałe strajki w Łodzi, które niepomyślnie skończyły się dla robotników, wywołały śród nich poważne refleksje i dążność do zapobiegania ciężkiemu położeniu materjalnemu podczas bezrobocia, bądź przymusowego, wynikającego z przesileń, bądź dobrowolnego, wywołanego jako akt woli robotników. Dążność tę silnie ujawnił związek metalowców, posiadający pięć oddziałów: cztery w Zagłębiu i jeden w Łodzi. Związek ten postanowił zwołać walny zjazd delegatów w Łodzi. Dn. 7 września w Dębowej Górze pod Sosnowcem odbyło się ogólne zebranie członków oddziału, na którem wybrano delegata na zjazd łódzki i uchwalono następujące dyrektywy (według relacji *N. Gaz. Łódzkiej)*:

1) Zasiłki w czasie strajku lub lokautu mają być wydawane członkom należącym do związku, nie mniej niż 6 miesięcy i wynosić mają: 3 ruble tygodniowo dla rodziny składającej się z pięciu i mniej osób; gdy zaś osób w rodzinie jest więcej, związek dopłaca po 15 kop. tygodniowo na każde dziecko.

„Walne zebranie w Łodzi powinno punkt ten nieco uzupełnić. Mianowicie zasiłki powinny być w pierwszych tygodniach strajku lub lokautu — minimalne, potem zaś wzrastać co tydzień lub dwa, podług specjalnie w tym celu opracowanej tabeli. Rzecz bowiem jasna, że potrzeby zasiłku dla robotnika strajkujkującego lub zlokautowanego są w pierwszym czasie bezrobocia mniejsze, potem zaś coraz większe“.

2) Wzięcie czynnego udziału w nowozałożonych i zakładanych kasach chorych.

3) Popieranie kooperatyw własnych i ogólnych.

4) Zwalczanie związków kastowych, jako nieodpowiadających potrzebom i wymaganiom robotników.

5) Praca oświatowo-kulturalna, wykonywana przez urządzanie bibljotek, czytelń, pogadanek, odczytów pod egidą Związku. Urządzanie kursów dla analfabetów uznano za ważne zadanie programowe.

6) Zwalczanie pijaństwa. Dla zamanifestowania powagi tej uchwały, zebrani na Dębowej Górze oświadczyli kategorycznie, że odtąd trunków używać wcale nie będą.

7) Utworzenie biur pośrednictwa pracy.

8) Utworzenie porad stałych lekarzy i adwokatów przy każdym oddziale dla kontroli stosunków z pracodawcami w dziedzinach prawa i zdrowotności.

9) Utworzenie sądów polubownych.

Z okazji tego zjazdu *N. Gaz. Łódz.* daje kilka uwag godnych zaznaczenia:

Przedewszystkiem jest rzeczą niezbędną, ażeby oddział łódzki, organizujący zjazd w Łodzi, zawczasu przygotował grunt do jednobrzmiących i jednogłośnych uchwał. W tym celu należy zawczasu informować ogół robotniczy o zamiarach i potrzebach metalowców; trzeba więc sprawę skierować na drogę dyskusji publicznej.

Rzeczywiście, sprawa ta jest nazbyt wielkiej wagi, ażeby ją pozostawić przypadkowemu biegowi, nie rozważyć i nie oświetlić wszechstronnie. Termin zjazdu nie jest jeszcze ustanowiony. Powiedziano o nim tylko głucho: „w najbliższej przyszłości“. Jakkolwiek ta blizkość może być z różnych przyczyn bardzo rozciągliwą, należałoby jednak, pomimo to, już obecnie zabrać się do pracy nad wszechstronnem przygotowaniem i oświetleniem tak doniosłej kwestji, stanowiącej o losach i życiu rzesz wielotysięcznych.

Na ogólnym widnokręgu życia łódzkiego sprawa robotnicza nie jest już dziś „gorąca“, gdyż długotrwałe strajki i lokauty, wiszące ciężką zmorą nad przemysłem, ustały, ale sprawa ta jednak nie przestaje być poważną i pierwszorzędną. Jeszcze przed kilku tygodniami, gdy strajki były w całej pełni i gdy już zaczęła się ujawniać skłonność do powrotu na dawnych warunkach lub też po uzyskaniu pewnej podwyżki, przepowiadano, że chociaż nawet przyjdzie do owej zgody, będzie ona pozorną, a w rzeczywistości krótkotrwałą; że ci fabrykanci, którzy nawet dość szybko zgodzili się na pewną podwyżkę, poto, ażeby nie przerywać pilnych robót i wywiązać się z przyjętych zamówień, — po przejściu pracy gorączkowej i pilnej, zaczną znowu zniżać płacę. Jakoż przepowiednie te nie były mylne. Już dzisiaj daje się spostrzegać ten objaw znamienny. Niektóre fabryki zaczynają znowu zniżać płacę, a robotnicy z tego powodu znowu muszą porzucać pracę. Jest to nad wyraz smutne błędne koło stosunków nienormalnych, panujących w okręgu przemysłu łódzkiego. Jakkolwiek naogół stosunki ekonomiczne nieco się poprawiły, produkcja się ożywiła i zapotrzebowania rynków rosyjskich wzrosły, jednak nie można powiedzieć, że życie ekonomiczne w Łodzi i okolicach przyszło do zdrowia normalnego. Jest prawdopodobny zastój w meblowych dziedzinach, a ztąd będzie znowu nieuniknione zniżanie płacy zarobkowej, zmniejszanie dni i godzin pracy, a stąd znowu usu-

wanie nadmiaru rąk roboczych i znowu nędza śród rzesz robotniczych. Nie zapominajmy przytem, że taki stan rzeczy może się odbić jeszcze fatalniej, niż zimy ubiegłej, na położeniu ekonomicznem ludności pracującej, gdyż długotrwałe niedawno strajki wyrządziły znaczną szczerbę w ich budżetach.

Pamiętajmy wreszcie i o tem, że robotnicy nie są zorganizowani ani ekonomicznie, ani społecznie, że nie mają swoich związków, ani też żadnych instytucji kulturalnych, któreby przyniosły jakąkolwiek ulgę ich doli i ułatwiły przetrwanie chwil krytycznych.

Jedyną organizacją są powstające obecnie kasy chorych. Między innemi w tych dniach zorganizowano kasę taką w fabryce wyrobów fantazyjnych Jakóba Wilczyńskiego i Hirszberga przy ul. Spacerowej. Ustawa kasy jest już zatwierdzona przez inspekcję fabryczną i wzorowana na ustawie normalnej. Z następującemi jednak zmianami: właściciel przedsiębiorstwa zrzeka się przywilejów przewodniczenia w zarządzie kasy chorych, wobec czego przewodniczący jest obrany przez członków zarządu z pośród ich grona wraz z dwoma zastępcami. Zarząd kasy składa się z osób, wybranych z pośród pełnomicników oraz trzech mianowanych od administracji.

Dotąd przy tej fabryce istniała także kasa chorych, utrzymywana jednak tylko przez samych robotników. Obecnie przybywa dwie trzecie dopłaty fabrykantów (w stosunku do 1% potrąceń z zarobków). Niezależnie od kasy chorych ma nadal istnieć kasa inwalidów, utrzymywana przez właściciela przedsiębiorstwa. Celem jej jest zabezpieczenie materjalne robotników na wypadek niezdolności do pracy.

Zaznaczyć należy, że wogóle robotnicy dobrze rozumieją całą doniosłość kas chorych. Znaczna jednak liczba robotników łódzkich bardzo niechętnie przyjęła myśl przyjmowania kobiet i nawet wprost wrogo występuje. Motywem zaś takiej postawy jest to, że, zdaniem ich, kobiety zanadto obarczą kasy, gdyż będą wymagały zasiłków w okresie przedpołogowym i popołogowym. Bądź co bądź niewłaściwe to jest traktowanie sprawy i byłoby rzeczą bardzo pożądaną, ażeby robotnicy światlejsi, wpływowsi i bardziej ożywieni duchem humanitarnym, zechcieli zwalczać te poglądy oraz wrogie traktowanie w tej sprawie kobiet-robotnic, które ciężko pracują w fabrykach, a poza tem mają na swych barkach również ciężkie obowiązki domowe, jakich nie dźwigają wcale mężczyźni. Wszakże te robotnice, które będą korzystały z kas w okresie przed i popołogowym, to są żony robotników i matki ich dzieci. Pomoc tedy dla nich jest także pomocą dla mężczyzn-robotników.

Taki jednak pogląd na istotny stan rzeczy nie jest popularny śród robotników łódzkich i, co dziwniejsza, że dotąd nie widzimy usiłowań zwalczania tych wielce niepożądanych i wysoce egoistycznych rozumowań, niezgodnych z potrzebami i warunkami bytu rodziny robotniczej.

Z. P.

Kursy wieczorne.

W ostatnich latach w Łodzi zyskały wielkie powodzenie tak zwane kursy wieczorne, których celem jest wykwalifikowanie fachowe ludzi dorosłych, zajętych w ciągu dnia pracą zarobkową. Kursy te mnożą się z rokiem każdym i zyskują coraz większą liczbę słuchaczów, co jest objawem bardzo dodatnim. Między innemi cieszą się powodzeniem wieczorne Kursy handlowe przy Stowarzyszeniu pracujących w przemyśle i handlu. Program ich obejmuje: buchalterję, arytmetykę handlową i korespondencję w trzech językach: polskim, rosyjskim i niemieckim, oraz języki: rosyjski, niemiecki, francuski i angielski.

Od paru lat istnieją także kursy politechniczne, których zadaniem jest przygotowywanie specjalne średnie pracowników fabrycznych. Pod tym względem Łódź, jako miasto przemysłowe, posiada jeszcze wielkie braki i jeżeli naogół praca mnogich rzesz stosunkowo mało jest wydajną, to w znacznej mierze niewątpliwie dlatego, że przeważna liczba owych pracowników nie jest należycie przygotowana przez szkoły specjalne do pracy praktycznej. To też, jak rzekliśmy, kursy politechniczne mają doniosłe znaczenie, jakkolwiek nie ogarniają jeszcze szerokich potrzeb. Mogą one zaspokoić zaledwie drobny ułamek tych potrzeb.

Wogóle Łódź pod względem szkolnictwa zawodowego jeszcze posiada bardzo wielkie i dotkliwe braki. Dotąd szkołą praktyczną jest przeważnie warsztat fabryczny, co odbija się ujemnie zarówno na interesach produkcji, jak i na zarobkach pracowników.

P.

Od Redakcji. Instytucje łódzkie i osoby prywatne prosimy o nadsyłanie sprawozdań, broszur, wszelkich uwag, notatek i głosów w sprawach, dotyczących życia i potrzeb miasta, pod adresem kierownika działu łódzkiego w **Złotym Rogu**, Zenona Pietkiewicza. — **Łódź, Inżynierska 1.**

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

MARJAN ORLICZ.

11)

JAK W BAJCE.

POWIEŚĆ.

Kiedy kurtyna zapadła po raz ostatni, wstała rada, jak po odbytej pańszczyźnie. Gdzie mnie do zabawy, gdzie mnie do flirtu, kołatało się w zmęczonej głowie, wszędzie mi smutno, wszędzie źle. W domu zastała list przyjaciółki.

„Patrz, droga—pisała Awiczowa — jakie nasze postanowienia kruche: mam wyjechać i to niezwłocznie. Zapadłam dziś bardzo (piszę leżąc) i lekarze skonstatowali osłabienie mięśnia sercowego. Radzą natychmiast Nauheim, albo Kudowę. Mnie tam wszystko jedno! Zostałabym najchętniej w Warszawie. Na co? poco? Nie warto... Przyjdziesz mnie pożegnać? Ty jedna mnie nie zawiedziesz. Ogromnie potrzebuję oprzeć głowę na Twojem wiernem sercu“.

Mila.

Hela była wprost przerażona zmianą pisma i tonem kartki.

Co się stało z tą jej niezmąconą pogodą? Czyżby się czuła tak chorą?

Z samego rana pobiegła do przyjaciółki. Zadziwiające, jak żywa jest wymowa martwych przedmiotów:

Cały dom, taki zwykle uśmiechnięty, wygląda dziś, jak gdyby po nim przeszło tchnienie nieszczęścia. Awiczowa dnia poprzedniego podobno była blizka śmierci: przez dwie godziny cucono ją z zemdlenia.

Kiedy Hela zbliżyła się do fotelu, przyciągnęła ją do siebie i wybuchnęła głośnym łkaniem.

— Na miłość Boską, Milu nie dawaj się tak nerwom: to zabójcze przy twoim cierpieniu.

Potrząsnęła smutnie głową.

— Wszystko mi jedno.

— Mila, co to? Zmieniłyśmy role? To ja tobie mam dodawać ducha? A żebyś ty wiedziała, com ja w tych dniach przeszła, jakie walki, jakie zmagania ze sobą samą.

— A ja? a ja? całe lata przeżyłam od tych kilku dni.

— Mila, co z tobą?

— Więc się nie domyślasz ty, co tak znasz moją duszę... Nie wiesz, że jedno tylko było w stanie tak ją zmącić do dna?

Helu, Helu, ja taka nieszczęśliwa!

— Ty nieszczęśliwa? Czyżby?...

— Tak, tak — podeptał zmiażdżył, zawiódł...

Hela nie śmiała pytać.

Siadła obok fotelu, bezsilna wobec tego serdecznego bólu.

— Nie chcesz pytać, ale ja muszę powiedzieć, muszę wyrzucić z duszy ten ob raz plugawy.

Przymknęła oczy blada, dysząca, nie puszczając z rąk ręki Heli.

— Muszę — mówiła po chwili odpoczynku — Helu! przeszedł koło mojego łóżka, koło tego ciała, o którym mawiał, że jest skradzione pięknościom starej Hellady i poszedł tam, do mieszkania służby, do pokojówki, suchej wstrętnej dziewki...

— Ale skądżeż?

— Widziałam, na własne oczy widziałam. Płakał, klękał, tłómaczył się, że mu doktór kazał mnie oszczędzać, że to jakiś szalony wybryk zmysłów, który się nie powtórzy, że jeśli mu nie przebaczę, jeśli się ktoś dowie, w łeb sobie palnie.

I cóż mi to wszystko? Duszę mam stratowaną, skopał ją, zbezcześcił. Może być spokojny: komużbym powiedziała oprócz ciebie? Udusiłabym się ze wstydu. I poco zresztą? Żeby mię wyśmiano: „To i cóż?...

mężczyzna...” Ha, ha, ha! — śmiała się spazmatycznym śmiechem — Mężczyzna: wiesz, żeś dla niego nie pierwsza, lecz wierzysz żeś ostatnia. Jak do świętego misterjum przystępujesz korna, oddana; wysiłkiem kochającego serca przekreślasz za jednym zamachem całą tę jego zbrukaną, brudną przeszłość, dobrowolnie rzucasz zasłonę na to bagno, w którym się pławił i w dalszym ciągu godzisz się dla jego miłości na tę rzecz ohydną, że bezwolną bierze cię jak przedmiot, jak własność, za każdym razem, kiedy go napadnie miłosna zachcianka, nie pytając, czyś i ty do niej usposobiona. Godzisz się na wszystko, byle mu z tobą dobrze było. A kiedy po latach wyczekiwania w łonie twojem budzi się nowe życie...

Hela drgnęła. Ogarnęła ją ciepło rękami.

— Naprawdę? Cicho, cicho, moje ty pisklę zranione, oszczędzaj się.

— Nie, nie będę się oszczędzała nie chcę dziecka, nie chcę jego dziecka! wyrwę, wyrzucę z siebie! Nie chcę, nie chcę!

Hela zrozumiała, że każda odpowiedź podsyca jej rozdrażnienie, że najlepiej przemilczeć.

Po niedługiej chwili podniecenie opadło, natomiast osłabienie spotęgowało się do tego stopnia, że chorą trzeba było wziąć pod obie ręce i odprowadzić do łóżka.

Hela została przy niej tak długo aż uspokojona walerjaną i przemęczona wysiłkiem z depresji wpadła w sen głęboki.

Więc niema stanowczo szczęścia na świecie? — myślała wracając do siebie, niema nigdzie.

Tylko, że zła dola jednym jest wiecznym towarzyszem, u drugich przywaruje za węgłem, żeby na nich wypaść naraz, jak wilk zgłodniały na swoją zdobycz.

Myli się Maupassant sądząc, że „życie nie jest ani takie dobre, ani takie złe“.

O, złe, mściwe a takie przebogate w bolesne niespodzianki. To dwoje już się kochało i rozumiało; chwile ich płynęły obok siebie równe, gładkie, jak tafla spokojnej wody i naraz... przyjdzie życie, rzuci drobny kamyk i tafla spokojna zburzy się zmętnieje... Tyle, że przynajmniej mieli garstkę dni szczęśliwych. Po wyjeździe Awiczowej Hela niecierpliwie wyczekiwała listu.

Szedł tydzień za tygodniem i ani słuchu. Już poczęła się poważnie niepokoić, nie wiedziała nawet dokladnie dokąd z Wrocławia pojechała.

Nareszcie nadszedł list.

Niecierpliwie rozerwała kopertę.

„Już czwarty tydzień jak tu jestem, a dotąd się na słówko zdobyć nie mogłam. Nie miej mi za złe, droga: takam była apatyczna, taka wyczerpana, że wszystko mi było wysiłkiem. Myślałam wyjeżdżając, że może zmiana miejsca otoczenia, że wprost utłukę jakoś to moje cierpienie. Gdzież tam. Od paru dopiero dni czuję, ze mi wracają siły, że się ode mnie odżegnywa ta gorsza niż wszystko apatja.

Chociaż i dziś jeszcze potrafię siedzieć godzinami u okna bez ruchu i patrzeć jak chmary ciem rozbijają sobie skrzydełka o klosze latarń na drodze, jak pędzą jedne przez drugie. Biedactwa myślą, że biegną w światło w ciepło a lecą... w śmierć.

Kąpiele tutejsze cuda działają.

Cóż jednak z tego, że uleczą mi ciało...

Dusza moja, zraniona, okaleczała, gdzież na nią lek?

Znałam Kudowę. Kiedyś, małą jeszcze dziewczynką, jeździłam tuz mamą.

Kudowa, chociaż od wieków już słynęła ze swych cudownych źródeł, była wówczas jeszcze marną, ciemną, błotnistą dziurą, tak biedną ze ją Czesi Chudobą nazywali (biedą).

Ja wtedy słońce miałam, radość, wesele dziecka w duszy. Jakżeż zmieniły się, nasze role!

Kudowa dziś „Weltbad”, strojna, jasna, wesoła, mnie zabagniono duszę, zgaszono radość.

Ale powiem ci coś co cię ucieszy: nie wiem czy to dzięki temu, żem silniejsza, czy robi to umiejętna, delikatna opieka doktora Brodzkiego, jednego z tych lekarzy nie tylko ciała, ale i duszy, nieporównanego „quant aux petits soins”, dość, żem się pogodziła z tą myślą, co mię podrywała, co mi duszę obsiadła jak zmora.

Jakież to smutne... Pogodziłam się. Tylkom się pogodziła, kiedym myślała dawniej, że jeśli to przyjdzie, oszaleję chyba, ze szczęścia. Dobrze, że będę miała dziecko, to może jeszcze jedyne

„palladium"! Jak ja wyraźnie widzę rozradowanie w Twoich słodkich oczach. Nie czekaj moich listów, pisz mi o sobie. Domyślam się wielu rzeczy.

Mila.

P. S. Nie prędko wrócę: mają mnie po kuracji wywieść na rok na południe. Niech wiozą.

Adres mój: Bad Kudowa, polska willa Wunsch. Pisz, pisz prędko.

(d. c. n.)

STANISŁAW JERZY KOZŁOWSKI.

SARDANAPAL.

NOWELA.

Jechał król królów, Sardanapal, przez szerokie aleje, wysypane złocistymi piaski. Poprzedzali go strojni w ciemnożółte atłasowe szaty murzyni, powiewając bogactwem pióropuszów strusich i miedzią tarcz olbrzymich połyskując. Każdy z nich przypominał hebanowego kolosa, o piersiach i muskułach nadludzkich.

Sam władca jechał na cedrowym wozie którego boki roztęczał kosztowny perłowiec, a koła, wykładane szyldkretem, nabierały lśnień od złocistości piasku. Ciągnęło go dziesięć ogierów białych. Ich kopyta, jak piasek złote i takaż uprzęż, dzwoniąca miljonem cekinów, grała promiennie. Kity szkarłatne huśtały się u łbów, szkarłatne frendzle wisiały przy pyskach.

Rozparty na miękkich, amarantowej barwy kobiercach jechał Sardanapal. Wzorzysta okrywała go szata, srebrnawa z perskiej tkaniny, cała mieniąca się w gwiazdy. Potrójny naszyjnik, obciążony wielkości jaj gołębich brylantami, rozświetlał śniegową biel stroju tęczą niesłychaną. Równie bezcennemi klejnoty iskrzyły się naramienniki drogie, zapinki kosztowne i pierścieni baśń... Zaś korona wspaniałego króla królów była niby jeden olbrzymi, niebieskawego odcienia, brylant. Miljony czarnych rabów zginęły w złowrogim mroku kopalni, miljony były rycerstwa, plądrującego skarbce cudzoziemskie, skazane nim ów jaśniejący djadem chwały Sardanapal na monarsze skronie przywdział.

Dokoła krolewskiego wozu, biegły młodziutkie dziewczątka, wybrane z pośród najcudniejszych", trefionowłose, białoramienne, różanostope. Powiewały wstąg stubarwnych warkoczami, wachlując jadącego mocarza, a usta ich pełne tryumfującego śpiewu, wesołej radości i lubieżnych uśmiechów sławiły jego imię.

A dopiero za królem królów jechał dwór.

Szli więc różnokolorowi niewolnicy, ugięci pod ciężarem purpurowych, srebrnych, lub wykładanych chryzolitem lektyk, w których potężni ministrowie i możni dostojnicy przeginali swe spasione, kapiące drogocennościami cielska, sunęły wolno bogate pojazdy książąt i ich świty złocistej, dalej bronzowe rydwany wielkorządców, kwadrygi z drzewa różowego, czy inkrustowane egipskim tyssem, pełne nadwornych artystów, wróżbitów, mędrców, prawodawców, wprost oślepiających przepychem zbroic rycerzy. Zaś kapłani, o długich siwych brodach, biało przystrojeni, (włosy ich oplatały przepaski czerwone) wśród blasku jarzących pochodni, wśród uroczystych hymnów i dymów kadzideł, nieśli olbrzymi posąg Baala, uwieńczony, cały jasny, szczerozłoty. .

Wodzowie przy łopocie proporców, przy migotaniu tarcz żołnierzy, dumnie błyszczeli na bojowych rumakach. Ich pióropusze, płaszcze i kapy gorzały ukropem amarantu. Dumne, bohaterskie twarze ocieniały szyszaki, nabijane gwiazdami rubinów. Zda się krople krwi pobitych, zachowane na wieczystą pamiątkę tryumfu.

Czterysta białych, kolosalnych słoni, z pozłoconymi kłami, w czaprakach fioletowych, bramowanych deseniem pereł, dzwigało miękkie jedwabiste poduszki, gdzieniegdzie pokryte skórami panter, lub tygrysów. Spoczywały na nich czarujące kobiety — królewskie nałożnice, jaśniejące krasą od rozpustnych assyryjskich bajek cudniejsze. Po-

łyskały syrenie kształty: toczone ramiona piersi wezbrane, biodra chimeryczne, kędziory wonne. Połyskały ozdoby i przybrania misterne: djamenty, szmaragdy, turkusy, bursztyny, onyksy, chryzolity, szafiry, granaty, opale i ametysty...

Zaczem znów sunęły pojazdy z bronzu i malachitu, hebanu i perłowca, w formie konch, lub ptaków fantastycznych, a ciągnięte przez różnej maści ogiery, kuce, lwy, tygrysy, pantery, lamparty, byki, nawet sfory specjalnie ustrojonych niewolników. Jechały na nich: kurtyzany, hurysy śpiewaczki, atleci, czarnoksiężnicy sudańscy, lutniści greccy, astrologowie egipscy, fakirzy indyjscy, ofiarnicy arabscy, wreszcie cały ten pyszny drobiazg dworski, jakim się nieraz kapryśny król królów otaczać raczył.

Pochód sunął przez wysypane złocistymi piaski aleje. Ujmował je w ramy szpaler drzew tysiącoletnich. Na zakrętach brylantowe fontanny otrząsały z mglistych warkoczy wonny opar. Naród posągów milczał wśród królewskiej ciszy ogrodów. Najwyszukańsze kwiaty przerafinowanym zapachem drażniące senne zmysły... cały ich bezkresny kobierzec haftował klomby miljonobarwe. Cudne były kwiaty Sardanapala, cudne ogrody wiszące, bajki czarnoksięskie.

Nagle z pod cienia odwiecznego drzewa wysunęła się jakaś skulona postać. Jeszcze chwila... i błyskawicznym skokiem znalazła się na stopniu królewskiego wozu.

Porwał się król królów, a przytomna jego dłoń zdążyła uchwycić morderczą prawicę, w której zatruty sztylet srebrzył się złowrogo. Wzniesiona ta prawica skamieniała nieruchomo, wątła, delikatna, w uścisku Sardanapala. On sam dyszał głucho... blady...

(d. n.).



H. DE BALZAC.

8) ———

Dzieje Trzynastu.

(Z francuskiego).

Niektóre kobiety, wracając z balu, chcą jaknajprędzej znaleźć się w łóżku, więc zrzucają pospiesznie i rozrzucają po podłodze suknie, zwiędłe kwiaty, bukiety, których zapach ulotnił się. Niecierpliwym ruchem zrzucają pod fotel zgrabne pantofelki balowe, wkładają na nogi wygodne, lecz niezdarne obuwie, niedbale rozplatają warkocze. Nie dbają o to, że mężowie ujrzą agrafki, podwójne szpilki, wymyślne haczyki, które podtrzymywały elegancki gmach koafiury. Tajemnice rozwiewają się, wszystko pada i obnaża się przed mężem, z pod szminki ukazuje się pożółkła twarz. Gorset, zazwyczaj pełen różnych tajemnic, leży tuż, o ile zaspana pokojówka nie domyśli się, by go schować. Fiszbiny, kawałki waty owinięte w ceratkę, szmatki, sztuczne włosy kupione u fryzjera, jednem słowem cała sztuczność kobieca leży tu, obdarta z wszelkich osłon. *Disjecta membra poetae*, sztuczna poezja, tak zachwycająca tych, dla których została stworzona i wypracowana, tajniki piękności kobiecej zapełniają wszystkie kąty. I oto miłości ziewającego męża ukazuje się kobieta istotna, ziewająca, znużona, w nieładzie pozbawionym wszelkiej elegancji, w pomiętym czepcu nocnym, tym, który nosiła wczoraj, który włoży jutro.

— Tak, mój kochany, jeśli chcesz, bym nosiła ładniejszy czepek, musisz podwyższyć mi pensję na moje fatałaszki.

Oto życie niekłamane, istotne. Każda kobieta dla swego męża jest stara i nie ładna; lecz zawsze wystrojona i elegancka dla innych, obcych, dla rywala wszystkich mężów, dla świata, który oczernia i szarpie wszystkie kobiety. Pani Juljuszowa, natchniona prawdziwą, niekłamaną miłością, która, jak wszystko co drga i żywie, posiada swój instynkt samozachowawczy, postępowała zgoła inaczej. Ze swego szczęścia i powodzenia czerpała ona siły niezbędne do wykonania wszystkich tych drobiazgowych obowiązków, których nie należy nigdy zaniedbywać, gdyż utrwalają one miłość. Zresztą, czyż te zabiegi i obowiązki nie płyną z poczucia godności osobistej, która jest też nielada ponętą? Czyż nie są one swego rodzaju pieszczotą? szanowaniem w sobie kochającej istoty? Krótko mówiąc, pani Juljuszowa zabraniała mężowi wstępu do pokoiku, w którym zrzucała z siebie strój balowy i skąd wychodziła przybrana w nocny kostjum, mistycznie przystrojona na mistyczne święto swego serca.

Wchodząc do sypialni małżeńskiej, zawsze wytwornej i wdzięcznej, Juljusz znajdował swą żonę zawiniętą w elegancki peniuar, z włosami zawiązanymi w dwa grube, wieńczące głowę warkocze, pełną prostoty, a jednocześnie czaru-

jącą, piękniejszą jeszcze, niż w blasku kinkietów na balu. Znajdował ją wyświeżoną, bielszą, niż muśliny, świeższą niż najświeższe zapachy wiosny, ponętniejszą niż najzręczniejsza kurtyzana, przytem zawsze czułą, a wskutek tego — zawsze ubóstwianą. To cudowne zrozumienie zawodu kobiety było tajemnicą powodzenia, którem cieszyła się Józefina u Napoleona, podobnie jak ongi tajemnicą władzy Cezarji nad Kajusem Kaligulą, Diany de Poitiers nad Henrykiem II. A jeśli zręczność owa osiągała tak niezawodny skutek u kobiet, dźwigających po kilka krzyżyków, to jakąż bronią musiała być w rękach kobiety tak młodej! Z jakąż rozkoszą znosić musiał jarzmo małżeńskie mąż takiej kobiety!

Lecz czas już powrócić do toku naszego opowiadania.

Otóż, po rozmowie z mężem, która zmroziła serce jej przerażeniem i przepełniła szalonym niepokojem, pani Juljuszowa z specjalną starannością dokonała tualety nocnej. Chciała być czarującą i udało jej się to w zupełności. Obcisły peniuar uwydatniał jej kibić, rozpięty stanik pozwalał dojrzeć olśniewająco białe ciało; czarne, hebanowe włosy opadały jej na ramiona, kąpiel w perfumowanej wodzie nadała upajający zapach jej ciału; wytworne aksamitne pantofelki ściskały drobne stopki. Pewna swego nieprzepartego wdzięku, drobnymi kroczkami podeszła do Juljusza i położyła mu dłonie na oczach. Zastała go zamyślonym, w szlafroku, wspartym łokciami na marmurze kominka. I owiewając go swym tchnieniem, łechcąc koniuszczkami zębów, pieszczotliwie szepnęła mu do ucha:

— O czem to pan mąż myśli?

Potem, przytuliwszy się doń, objęła go rękami, chcąc odpędzić od niego złe myśli. Kochająca kobieta posiada świadomość swej mocy. a im bardziej jest cnotliwa, tem silniej oddziaływa jej kokieterja.

— O tobie, — odparł Juljusz.

— O mnie jednej?

— Tak!

— Jakoś niepewnie mówisz: *tak!*

Położyli się spać. Zasypiając, pani Juljuszowa pomyślała:

— Stanowczo ten Maulincour będzie powodem jakiegoś nieszczęścia. Juljusz jest zamyślony, roztargniony i ukrywa myśli, z których nie chce mi się zwierzyć.

Około trzeciej nad ranem zbudziło panią Juljuszową jakieś przeczucie, które we śnie szarpnęło jej sercem. Jednocześnie fizycznie i duchowo wyczuła nieobecność męża. Nie czuła pod głową ramienia Juljusza, tego ramienia, na którem od lat pięciu szczęśliwa i spokojna opierała we śnie głowę. Jakiś głos wewnętrzny szepnął jej: „Juljusz cierpi. Juljusz płacze...“ Podniosła głowę, usiadła na łóżku, rozejrzała się dokoła i spostrzegła męża siedzącego przed kominkiem, z nogami opartemi na kracie kominka, głową — na poręczy wielkiego fotela. Juljusz miał łzy na policzkach. Biedna kobieta zerwała się z łóżka i jednym skokiem znalazła się na kolanach męża.

— Juljuszu, co ci to? ty cierpisz? Mów! powiedz mi! Nic nie ukrywaj, jeśli mnie kochasz.

W jednej chwili wyrzuciła z siebie sto słów, przepojonych najgłębszą czułością.

Juljusz padł jej do nóg, ucałował jej kolana, ręce i odparł wśród nowego potoku łez.

— Ach, najdroższa Klementyno, jestem tak nieszczęśliwy! Wiem, że to grzech nie ufać kochance, a ty przecież jesteś moją kochanką... Ubóstwiam cię, a jednak nie mogę pozbyć się podejrzeń... Słowa, które dziś wieczorem rzucił mi ten człowiek, trafiły mnie prosto w serce i wbrew mojej woli zostały w niem i ranią je. W tem tkwi jakaś tajemnica. Rumienię się ze wstydu, ale muszę wyznać, że twoje wyjaśnienia nie uspokoiły mnie. Rozsądek nasuwa mi myśli, któremi brzydzi się moja miłość. To straszliwa rozterka. Czyż mogłem leżeć spokojnie obok ciebie, trzymając na ramieniu twą głowę, w której podejrzewałem nieznane mi myśli? Ah, wierzę ci, wierzę, — krzyknął, — widząc, że żona smutnie uśmiecha się i chce coś powiedzieć. Nie mów nic, nie rób mi wyrzutów. Każde twoje słowo byłoby dla mnie zabójczem. Zresztą, cóż mogłabyś powiedzieć mi takiego, czego nie powiedziałbym sobie sam w ciągu tych trzech godzin. Tak, od trzech godzin siedzę na tem miejscu, wpatrzony w ciebie śpiącą, tak cudną, w twe czoło, takie czyste, takie spokojne. No tak! przecież nigdy nie ukrywałaś przedemną żadnej twej myśli? Nieprawdaż? Ja jeden istnieję w twej duszy. Patrząc na ciebie, zanurzając me spojrzenia w twoich oczach, widzę wszak to wyraźnie. Twoje życie jest równie czyste i jasne, jak twe spojrzenie. Nie, w tych głębokich oczach niema przecież dla mnie tajemnic.

Podniósł się i ucałował jej oczy.

— Pozwól mi wyznać, najdroższa, że w ciągu pięciu lat szczęście moje wciąż rosło, gdym widział, że nie posiadasz żadnego z tych uczuć, które choć naturalne, osłabiają cokolwiek miłość. Nie miałaś ani siostry, ani ojca, ani matki, ani towarzyszki i ja nie byłem w twem sercu ani przed, ani po kimś, gdyż byłem w niem sam. Klementyno, powtórz mi te słodkie, z duszy płynące słowa, które mówiłaś mi tak często; nie gniewaj się na mnie, pociesz mnie; jestem tak nieszczęśliwy. Wiem, że masz nademną przewagę, bo w sercu mojem gości ohydne podejrzenie, podczas gdy ty nie chowasz w sercu nic, prócz miłości dla mnie. Powiedz sama, kochanie, czy mogłem zostać przy twoim boku? Jakżeż dwie głowy, zawsze przejęte wspólną myślą, mogłyby pozostać na jednej poduszce, gdy jedna cierpi a druga jest spokojna?.. O czem ty myślisz? — krzyknął nagle, widząc Klementynę zamyśloną, oszołomioną i nie mogącą powstrzymać łez.

— Myślę o mojej biednej matce, — odparła poważnie. — Trudno ci, Juljuszu, wyobrazić sobie, jaki ból ściska serce twej Klementyny, gdy przypominam sobie ostatnie pożegnanie mojej drogiej matki. Wydaje mi się, że słyszę jej głos, słodszy od najpiękniejszej muzyki, że czuję uścisk jej stygnących rąk.

Podniosła opuszczoną głowę męża, objęła go ramionami, ucałowała mu włosy, rosząc je łzami.

— Ach, chciałabym dać porąbać się żywcem dla ciebie! Powiedz mi, że jest ci dobrze ze mną, że jestem dla ciebie najp kniejszą z kobiet, że jestem dla ciebie wszystkiem. Nie wiem, co oznaczają słowa: *obowiązek, cnota*. Wiem tylko, Juljuszu, że kocham cię dla siebie, że szczęśliwa jestem, iż cię tak kocham, że będę kochała cię do ostatniego tchnienia. I szczycę się swą miłością, bo czuję, że jestem stworzona jedynie do tego uczucia. Może to, co ci powiem wyda ci się złem, ale muszę ci wyznać, że jestem zadowolona, że nie mamy dzieci, że nie życzyłabym sobie zostać matką. Bo czuję się bardziej żoną, niż matką. No powiedz, czy masz jeszcze jakieś obawy? Słuchaj, kochanie, przyrzeknij mi zapomnieć nietylko obecną godzinę czułości i zwątpień, lecz wogóle słowa tego szaleńca. Żądam tego od ciebie, Juljuszu! Przyrzeknij mi, że nie będziesz się z nim widział, że nie pójdziesz do niego. Mam przeczucie, że jeśli zrobisz choć jeden krok w tej sprawie, stoczymy się w przepaść, w której ja zginę z twojem imieniem na ustach. Z twoim obrazem w sercu. Jak możesz cenić tak mało moje słowa? Ty, który tak ufasz ludziom, nie chcesz zawierzyć mi i wyrzucić z myśli głupie podejrzenie? I pierwszy raz, gdy masz możność dowiedzenia mi twej bezgranicznej wiary — wahasz, się wątpisz! Mając do wyboru między mną a jakimś szaleńcem, wybierasz szaleńca... jemu wierzysz. Ach, Juljuszu?..

Umilkła, odgarnęła włosy, które opadły jej na czoło i szyję, potem głosem zbolałym dodała:

— Powiedziałam zbyt wiele; jedno słowo powinno było wystarczyć. Jeśli w twojej duszy, na twojem czole ujrzę chmurkę, choćby najlżejszą, pamiętaj Juljuszu, że nie przeżyję tego!

Nie mogła powstrzymać dreszczu, pobladła.

— Ach, zabiję tego człowieka, — pomyślał Juljusz i, wziąwszy żonę na ręce, zaniósł ją do łóżka. — Śpij spokojnie, mój aniele, — rzekł. — Zapomniałem o wszystkiem, przysięgam ci.

Po tych kojących słowach, wyrzeczonych bezbrzeżną słodyczą, Klementyna usnęła.

Widząc ją śpiącą, Juljusz szepnął do siebie:

— Tak, ona ma słusznoś. Gdy miłość jest tak czysta, wszelkie podejrzenie bruka ją. Dla tej dziecięcej duszy, dla tego delikatnego kwiatka najlżejsze zbrukanie byłoby śmiercią.

Dla dwojga ludzi kochających się wzajemnie, każda chmurka, choćby natychmiast rozwiana, pozostawia pewien cień, pewien nieznaczny ślad. Czasem czułość wzmaga się po niej, podobnie jak ziemia odświeża się po deszczu, gdy grzmią jeszcze odległe grzmoty, a już niebo rozpogadza się, lecz bądź co bądź następuje pewna zmiana: miłość albo wzmaga się, albo słabnie.

(d. c. n.

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ROGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.— półr. rb. 3.— kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.— „ „ 3.50 „ „ 1.75
Za granicą i za oceanem „ „	„ „10.— „ „ 5.— „ „ 2.50

Za odnoszenie do domu 15 kop. kwartalnie. Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. **Nadesłane**, w tekście—75 k. **Reklamy**—40 k. **Ogłoszenia na 3** str. okładki 20 k. **Na 4 str. okładki**—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa". Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Glisczyńska

Redakcja i Administracja: **Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.**

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.